

H. ZAWORSKA — Nowa Huta miastem socjalistycznej kultury; T. A. JASIŃSKI — Broń przecho ludow;
S. DZIECHCIARUK — Film o bohaterze narodowym; M. WARNEŃSKA — Pytania opolskie.
J. KUCZYŃSKI — O czynie Mikołaja Kopernika w 400 rocznicę wydania dzieła;
B. GOŁĘBOWSKI — Powieść o studentach białostockiej uczelni;
J. STAWIŃSKI — Budowa rzeczywistości.

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dnia 24 maja 1953 r.

Nr 21 (407)



MARIA JANION

„GDY NARÓD DO BOJU...”

Z ODLEGŁYCH lat ucisku, krzywdy i niewoli wywodzi się ta pieśń, która stała się bojowym hymnem chłopskiego buntu przeciw ciemnogómskiemu chłopskiemu wiaru w przyszłość ludowej Ojczyzny.

Przez wiele dziesięcioleci towarzyszyła rewolucyjnym walkom proletariatu i chłopstwa, zawierając w sobie gorącą treść walki o wyzwolenie ludu. Stała się jedną z najpopularniejszych pieśni rewolucyjnych. Dziś rozbrzmiewa na pochodach pierwszomajowych i w dniach Święta Ludowego, wspomagając zwycięstwa przodujących chłopów, nie zabrakło jej podczas zamykania obrad I Kongresu Spółdzielczości Produkcyjnej, śpiewa ją młodzież wyruszająca na trudne odcinki budownictwa socjalistycznego. Jest więc pieśnią naszej walki — ale dziś już także i naszych zwycięstw, naszych nadziei — ale dziś także i naszej pewności jutra Ludowej Polski. Wzrostła do skarbnicy najcenniejszych tradycji wolnego narodu. Swą obecnością, we wszystkich pięknych i dumnych momentach naszego życia świadczy o nierozdzielnej więzi, którą dziś realizujemy z naszymi przodkami, choć nieraz jeszcze niejasnymi i tęsknotami narodu do wyzwolenia człowieka, z gorącą prawdą jego ludowego patriotyzmu, nienawiści dla zdrajców i wyzyskiwaczy, z nieustępliwą wiarą w potęgę ludu, w historyczną konieczność jego zwycięstwa.

Dlatego jednak właśnie ten wiersz jednego z demokratycznych poetów doby romantyzmu — Gustawa Ehrenberga, liczący już blisko 120 lat, stał się ulubioną pieśnią walczącego narodu, hymnem mas chłopskich, którym rewolucyjny pisarz poświęcił strofy utworu?

Jakie dzieło literackie osiągnąć może wysoką godność utworu, który stał się własnością narodową tak dalece, że niemal zatęchła się już świadomość, kto był jego literackim twórcą, że jest on traktowany niemal jako anonimowa, wyrosła z tęsknot i potrzeb mas, pieśń ludowa? Wiersz ten, związany był z konkretną sytuacją historyczną, z oceną roli szlachty i ludu w powstaniu listopadowym 1830 — 1831 roku. Jednakże posiadateli dla szeregu pokoleń żywą wciąż aktualność radykalnego i dojrzałego programu walki o wyzwolenie i zjednoczenie rozdartej ziemi polskiej, ściśle uzależnione od wyzwolenia mas ludowych z jarzma ucisku i wyzysku, od obalenia i zniszczenia wrogości narodowi wrogu, jaki na życie polskie miał feudalizm — a później jego przeżytki, zachowane w naszym kraju aż do czasów Wielkiej Reformy 1944 r. Wierzenie zaś żywą aktualność zapewnił wierszowi Ehrenberga przede wszystkim jego naczelnie stwierdzenie, że lud jest jedynym źródłem patriotyzmu, że lud jest narodem, że ci, którzy występują wbrew interesom ludu, stać się muszą tym samym — zdrajcami narodu.

Słowa wiersza Ehrenberga tkwi w tym, że umiał on już wtedy przewidzieć nieuchronną klęskę sił magnackiej reakcji, tego, „co w życiu starzeje się i zmierza ku mogile, choćby dzisiaj było obryzmia siłą” i zwycięstwo ludu — tego, „co w życiu rodzi się i z dnia na dzień rośnie” (Stalin).

Utwór Ehrenberga został napisany w epoce, kiedy trzeba było olbrzymiej przenikliwości historycznej i wielkiej siły przekonania ideowego, aby już dojrzał zarodek przyszłego nieuchronnego zwycięstwa sił ludowych, nieodwracalnej klęski wszystkich zdrajców narodu, wyhodowanych przez szlachtę i magnaterię. Wiersz „Gdy naród na pole...” powstał bowiem, zdnaniem historyków, już w latach 1835 — 1836, opublikowany został po raz pierwszy w wiele lat po aresztowaniu i zesłaniu jego autora, bo w 1848 r. w anonimowo wydanej zbiorce wierszy Ehrenberga pt. „Dźwięki minionych lat”. Jak jednak wykazały ostatnie badania, na długo jeszcze przed 1848 r. wiersz Ehrenberga był rozpowszechniany przez agitatorów rewolucyjnych i śpiewany w różnych dzielnicach Polski.

Jak informują zeznania jednego z więźniów, w konspiracyjnej grupie studenckiej, do której należał także Ehrenberg, „akademik każe obowiązywać bynajmniej nie do chłopów — doprowadzić tych, że do uważania siebie jako ludzi i to wyobrażenie, jakoby chłop od Chama pochodził, wykorzystać”. Stwierdzono również, że wraz z innymi rewolucjonistami Ehrenberg kapitulował wówczas „do powstania górników i górali”. W tej atmosferze wykładał się nieugięty, przepojona akcentami rewolucyjnymi — demokratycznymi postawą poety jako działacza politycznego i twórcy popularnych pieśni agitacyjnych.

Niezmiennie sugestywnie, z grzyzącą ironią i żarem ideowym przeciwstawiał Ehrenberg prawdziwy patriotyzm ludu, ofiarności i bohaterstwo „wiaru” o rękach „czarnych od plugi” satyrycznie potraktowanemu egoizmowi i małoduszności magnaterii — wieczystych nosicieli zdrady narodowej. Ostra świadomość wielkiego procesu historycznego, jakim było kształtowanie się nowożytnego narodu polskiego, każe Ehrenbergowi widzieć ludowe korzenie narodu, każe mu wykluczać poza jego obręb kosmopolityczną i zdradziecką magnaterię. Uderza porównanie pewności bliskiego wyzwolenia spod pańskiego jarzma, pewności dojrzenia ludowej świadomości klasowej. Toteż pieśń Ehrenberga rozbijała mity solidaryzmu, którymi od wieków oszukiwano polskich chłopów. Siła utworu tkwiła także w zapowiedzi nieubłaganej zemsty ludu za krzywdę społeczną i zdradę narodową.

Poprzez dziesięciolecia historia lud nasz uczył się odnajdywać prawdę tej pieśni. Była ona aktualna wtedy, kiedy wszystkie powstania wyzwolenie narodu polskiego ponosiły klęskę z tych samych przyczyn, tak dokładnie niegdyś określonych przez Ehrenberga. Nie mogła zostać zapomniana jej siła wiary w zwycięską przyszłość w dniach manifestacji, strajków i powstań robotniczych XIX i XX wieku. Ta pieśń jak sztandar walki patrolowała masom chłopskim w niedalekiej przyszłości podczas strajków i demonstracji przeciw wrogom narodowi rządzący obszarowo — kapitalistycznej klasi sanacyjnej. Jej gorzka prawda wracała na usta w dniach zdrady wrześniowej 1939 r. Śpiewali ją ludowi partyzanci zapowiadając „godzinę powstania”, kiedy „magnatowi lud uczyć zgłotuje”, i potem w dniach wielkiej Reformy Rolnej I dzisiaj pieśń Ehrenberga zwraca się swym ostrzem przeciwko dogrywającej na żołdzie wrogich Polsce sił imperialistycznych nowej Targowicy — obszarników, zbankrutowanych hrabiów i magnatów, gieldowców, wystawiając im niezapomniany rachunek krzywd. Dzisiaj zagrożenia od walki o socjalistyczną przyszłość plomienią wiarą w niespożyte siły rewolucyjnej mas chłopskich, które widzą ucieśnienie swoich najcięższych, wielowiekowych tęsknot i tradycji w Ludowej Ojczyźnie. Lud, który po wiekach niewoli sprawuje władzę w nowej Polsce, słyszy w pieśni Ehrenberga potwierdzenie swej potęgi i woli zwycięstwa, gorącej we wszystkich naszych wielkich osiągnięciach budownictwa socjalistycznego.

Ta pieśń jest zawsze z narodem



MONIKA WARNEŃSKA

PYTANIA OPOLSKIE

NA POZÓR było tak jak w październiku, za naszych jesiennych spotkań opolskich: miasta powiatowe, miasteczka i wsie, fabryki i spółdzielnie produkcyjne, szkoły — tym razem największe szkół. Sale mniejsze lub większe, słuchający na ogół dużo. Frekwencja kilkudziesięcioosobowa była zjawiskiem rzadkim, przeważnie zjawiała się 200 — 300 słuchaczy, a nieraz przychodziło ich — zwłaszcza w środowiskach młodzieżowych — ponad 400 lub 500. Wdzieliśmy znów twarde pełne rezerwy lub lekkiej nieufności, jak gdyby malowało się na nich pytanie: Kim są przybyli pisarze, co przynoszą, co powiedzą?

Lecz jedno było inne niż jesienią. W miejscowościach gdzie jeździliśmy po raz drugi, w ośrodkach, uznanych za „trudne”, za przejawiające obojętność dla książki, gdzie ponawialiśmy nasze odwieczny — ciepły blask rozjaśniał twarze słuchaczy, a z dyskusji okazywało się, że pamiętali nas lub kolegów, którzy w jesiennym spotkaniu uczestniczyli, pytali o książki, które piszemy, a o których wspominaliśmy poprzednio. Nie trudno było zgadnąć, że powtórny przyjazd literatów — to nowe, skuteczne uderzenie w zaskorupiały o gór obojętności na sprawy kulturalne, to nowy pomost zrzucony między czytelnikami opolskimi, a pisarzami i książkami. Pomostów tych trzeba jak najwięcej.

Ale by też zrozumienia zadzierzgnąć się mocniej — nie wystarczy sama wypowiedź pisarza, nie wystarczy gawęda, w której snujemy dzieje bohaterów naszych powieści i opowiadań. Potrzebna jest szeroka dyskusja. Wszędzie na te dyskusje czekaliśmy, zachęcając do niej słuchaczy.

Oto pierwsze spotkanie z mieszkańcami fabrycznych Krapkowie. Pisarze byli tu już jesienią; atmosfera wśród słuchaczy jest ciepła i życzliwa. Ponawiają się „jesienne” pytania o tematykę śląską, zwłaszcza — opolską w naszej literaturze, o najciekawsze książki współczesnych pisarzy, o książki morskie i sportowe. I pytanie klasyczne niejako, które stanowi nieodzowny akord każdego prawie z naszych spotkań, pytanie o „Pamiętnik z Celulczy”, o twórczość Igora Nowyńskiego, o jego plany pisarskie. Pytanie to powracać będzie często, świadcząc dobitnie o wielkiej roli dzieła Nowyńskiego, które „przebiega” i toruje naszej współczesnej literaturze drogę do czytelnika opolskiego.

Pytania o książki Morkina. Dwie jego ostatnie powieści, w tym jedna, która w ciągu roku doczekała się trzech wydań („Urodzaj li-dzi”) — jeszcze tutaj nie dotarły. Młodzieńcy oficer chcą wiedzieć, co sądzą pisarze o twórczości Londona? A drugie jego pytanie: Dlaczego literaci nie interesują się tematem działalności Ludowego Wojska Polskiego w czasie pokoju?

Nazajutrz, w Byszcynie wśród słuchaczy przeważa młodzież i to nie tylko miejscowa. Licznie stawił się tutaj uczniowie ze szkoły rol-

niczej z odległych o parę kilometrów Polanowic, którzy podczas dyskusji pytali o powieści dotyczące wsi. Jak się okazuje, nie dotarli jeszcze do szkoły polanowickiej „Traktory” Zalewskiego, nie mówiąc już o takich nowszych pozycjach, jak „Przebudzenie” Banasia lub „Dziwczyna” Pierzchały! Oni to serdecznie i gorąco prosili o przyjazd pisarzy, o zainteresowanie się literatów ich szkołą, życiem, nauką.

Od następnego spotkania prowadzimy dyskusję „kartkową”, które gorąco polecamy wszystkim kolegom — pisarzom, którzy wyjeżdżając w teren nie chcą ograniczać się do jałowego odczytania własnych tekstów, lecz pragną równocześnie wysłuchać próby, życzenia i opinie czytelników, dotyczące książek, bibliotek, literatury. Odtąd ilość dyskusyj gwałtownie wzrosła, dochodząc do liczby 70. Nie dziwnego, że chrypliwym nieraz, odpowiadając dyskusyjantom — przy czym dzielnie nam sekundowały koleżanki — aktorki — Janina Niczewska i Halina Krzyżanowska, do rak których wędrowały kartki z mnóstwem pytań, dotyczących teatru, filmu, wybitnych artystów polskich.

„Jacy pisarze piszą książki romantyczne?”, „dlaczego pisarze nie piszą książek miłosnych?” (Lewin Brzeski), „dlaczego obecni literaci piszą przeważnie na tematy współczesnego życia, czy nie mają takich myśli więcej uczuciowych?” (Raci-bórz).

Te naiwne często formułowane, ale szczerze i symptomatyczne pytania padały niemal wszędzie.

W Prudniku, gdzie po raz pierwszy ogłosiliśmy „kartkową dyskusję”, młodzi słuchacze chcieli wiedzieć: „...czy napisanie powieści wymaga dużo czasu i trudu?”, „czy obecny poeta (Jan Krowczyński), zajmując się pisaniem, pracuje tylko w dziedzinie pisarskiej, czy też prócz tego pracuje zawodowo?”

„...Na terenie naszej klasy — czytamy w innej kartce — toczy się od dwóch lat dyskusja na temat: Kto jest większym poetą, Mickiewicz czy Słowacki. Prosimy o obiektywne wyjaśnienie tego zagadnienia — uczniowie XI-a”.

Młodzież raciborska pyta nas: „Czy są tacy literaci, którzy czytają dopiero pisać książki, a nie pisali przedtem? A jak są, to jak brzmi ich nazwisko?”. Inne pytania: „Dlaczego Sienkiewicz i Krasiński wspominają o ziemi raciborskiej, a współcześni pisarze nie?”

W Oleśnie, pamiętnym działalnicią Józefa Lompy, w Oleśnie, gdzie jesteśmy również po raz drugi, słuchacze pytają nas: „czy obfite użycie języka gwarowego w utworach literackich uszczupla ich wartość literacką, czy też nie?”. Inni chcą wiedzieć: „Czy zausze zmienia się nazwiska bohaterów w powieściach i dlaczego?”. Wysłuchawczy opowieści Wilhelma Schwarczka o pracy nad książką „Skarb Donnersmarków”, która wkrótce ukaże się drukiem — czytelnicy py-

STANISŁAW KAMIŃSKI

NOCNĄ GODZINĄ

Pamiętam jak z półki po kryjomu brała ostrożnie, niczym przedmiot kruchy i nietrwały książkę pierwszą — po latach czterdziestu bez mała. Wstydziła się przyznać, lecz karty wydały tajemnicę. Myślałem: kłopot masz znów mamu ze śladami załamania rogów, albo z plamą uczynioną niebacznie dłonią tłustą na tytułowej karcie...

Ta pierwsza matczyna książka była jak lustro, w którym ją dojrzałem — wśród domowej ciszy losy bohaterów wszeptwała w słowa, pewna, że nikt się nie dowie, nie usłyszy... Aż potem zaskoczyła mnie pytaniem: „Orzeszkowa to żyje jeszcze? Powiedz mi coś o niej synu.”

Dziś czytamy razem. Jest godzina nocna, zegar wystukuje chwile nim przepłyną obok matki śledzącej po szeregach liter. Pięć lat już tak czyta — do późna co wieczór, choć wie, że nazajutrz ze świtem przyjdzie jej znowu trud podjąć nielekki — spracowana znajduje czas jeszcze, by mieć pod swą pieczą pierwsze dwieście tomów wiejskiej biblioteki.

1953 r.

EUGENIUSZ ZARZYCKI

W NOWOSOLNEJ PRZYDAŁABY SIĘ RADA KULTURY

NOWOSOLNA ma dwa większe zespoły. Muzyczny, składający się ze starszych chłopów i teatralny — młodzieżowy. Wąsaci grajkowie z Nowosolnej koncertowali nawet przez radio na dożynkach w Poznaniu, gdzie — jak zapewniają — sam rząd bił im brawo. Pracuje także znany zespół szkolny pod kierownictwem nauczycielki Smolarkowej. Młodzi artyści wystawili „Krakowiaków i górali”, „Damy i huzary” i „Wesele Jagny”. Widział ich Andrzejów, Wiskitno, wiele okolicznych gromad, widziała i publiczność łódzka.

Każdego wieczoru czynna jest w Nowosolnej świetlica, której kierownikiem jest zdolny, pełen zapału — ob. Jabłoński. Codziennie bywa tu ponad 80 osób. Niemal jak na gromadzie.

Wreszcie i czytelnictwo wygląda imponująco. Biblioteka gminna liczy około 2.000 tomów i ponad 400 stałych czytelników. Obsługuje ją oraz dwa punkty biblioteczne znana działaczka społeczna, dawna nauczycielka, ob. Adamaszek. Urządza wystawy, publicznie pogwar-ki o książkach, to znów zobowiązuje uczniów szkoły do zaagitowania rodziców, by książki czytali. Stąd też biblioteka w Nowosolnej wysunęła się na drugie miejsce w łódzkim powiecie.

Byłem i w szkole, ścisłałem dłoń kierowniczką przedszkola ob. Podolskiej, przypatrywałem się, jak 40 dzieci spółdzielców i indywidualnych chłopów z apetytem pałaszowało obiad.

Słowem — gdziekolwiek zajrzałem, wszędzie zastałem obraz niemal że idealny. A jednak? Najważniejszym zadaniem, jakie stoi przed aktywnym z Nowosolnej, to walka o ośrodek gromady, zamieszkały przez indywidualnych chłopów, walka o połączenie obu współdzielczych skrzydeł wsi. Czy i w jaki sposób mogą i powinny te walce zaostrzać, wzmacniać jej tempo zespoły artystyczne, szkoła, świetlica i biblioteka? Tu właśnie leży — jak w przysłowiu — „pies pogrzebany”.

Zespoły w Nowosolnej są nieco sobiepańskie. Wzwały za przykład orkiestrę. Starsi muzykanci, niechętnie patrzący na młodych, jak to się mówi — do niczego nie należą i za nic nie odpowiadają. Trzeba, to grywać na dożynkach, ale i od wesele nie stronią. A poszczególni jej członkowie chcą sobie potrafią się wyminąć z flekiem czy kor- netem i zagrywać na kulackich weselach i chrzcinach. Nabór członków odbywa się trochę po „uważaniu”, a w każdym razie nie ma mowy o jakiejś rozsądnej, planowej polityce kadr. Grajkowie grają i uczą się od przypadku do przypadku, bez oglądania się na rzeczywiste potrzeby terenu.

W zespole artystycznym młodzież zauważyłem również niebezpieczne tendencje. Oto młodzież spółdzielcza odgrywa się wyraźnie od reszty, chciałaby koniecznie przewodzić, lecz rozumie to przewodnictwo w sposób równie zabawny jak i szkodliwy politycznie. Mianowicie domaga się osobnej świetlicy oraz żeby instrumenty muzyczne były tylko o do jej dyspozycji; Podział na „my” i „wy” przeszkadza nie tylko w planowaniu imprez artystycznych, ale przede wszystkim odsuwa indywidualnych chłopów od obu kolektywów. A przecież na gruncie wspólnej pracy nad przygotowaniem pieśni, sztuki, gazetki oddziaływanie spółdzielców stałoby się silniejsze.

Cóż to wszystko oznacza? Zespoły artystyczne żyją osobno. Starsi sobie, młodzież sobie, szkoła sobie, biblioteka także na własną rękę. A przecież są w gromadzie wyrażniki na scalenie wysiłków kulturalnych, na — powiem wyraźnie — jednolity politykę kulturalną w gromadzie i gminie. Przecież gdyby dodać, podliczyć wszystkie czynności, a przede wszystkim samych tylko organizatorów życia kulturalnego — zebrałby się wcale niemały aktów: 3 nauczycieli, bibliotekarz, kierownik świetlicy, kapelmistrz, kierownik zespołu młodzieżowego, przewodniczący ZMP, listonosz, referent oświaty i kultury w GRN. Razem 10-ciosobowy aktów. On to powinien stanowić rodzaj r a d y k u l t u r y, wytwarzając planowo pracę dla wszystkich zespołów, nie pozwolić, by chodziły samopas.

Monika Warneńska

Eugeniusz Zarzycki

HELENA ZAWORSKA

NOWA HUTA MIASTEM SOCIALISTYCZNEJ KULTURY

SPECYFIKĘ potrzeb Nowej Huty określał dwa czynniki. Po pierwsze — jest to miasto, w którym wystrasta nowego, socjalistycznego człowieka jest jak najściślej związane z masowym procesem przechodzenia niedawnych chłopów w szeregi klasy robotniczej — większość robotników rekrutuje się z „pokrakowskich”, rzeszowskich, podhalańskich wsi. Za tym faktem stoi uwalniający się z podległości państwa typ doświadczeń, zainteresowań, trudnego nierzadko i burzliwego wstąpienia w zupełnie nowe warunki pracy i życia. Po drugie — Nowa Huta jest przede wszystkim miastem młodzieży — należy więc tu szczególnie uwzględnić jej zainteresowania: naukę, życie społeczne, rozrywkę, sport.

Ludzie włączeni w wielkie socjalistyczne budownictwo rosną szybko. Budzenie się potrzeb kulturalnych jest jednym z ważnych ogniw tego procesu. Front walki ideologicznej, walki o świadomość klasową i polityczną, jest frontem pierwszej linii. Łączy się to z jak najściślej ze sprawą wykonania planów produkcyjnych. Łączy się także z równie ważną sprawą wzbudzenia nowych ludzi do pracy w kombinacie, a więc z koniecznością wzmocnienia działalności propagandowo-oświatowej nie tylko w Nowej Hucie, ale i w całym województwie krakowskim.

Wiele mówiono już i wiele można by mówić o niedociąganiach, jakie miały miejsce w pracy kulturalno — oświatowej na tym terenie. Wymieniał je referat pełnomocnika rządu do spraw kultury i oświaty w Nowej Hucie, mówili o nich dyskutanci. Wypowiadane były wszystkie żale: teatrów krakowskich do Nowej Huty, Nowej Huty do teatrów krakowskich, żeby wymienić tylko najbardziej chybłą dyskusyjną problematykę i widza. Ale nie tylko teatry krakowskie mają wobec Nowej Huty wiele długów do odrobienia. Dotyczy to również wielu innych placówek i instytucji, aż po Ministerstwo Kultury i Sztuki włącznie. Nie przypadkowo kilkakrotnie nie mogły się odbyć w Nowej Hucie przedstawienia z „powodu... braku widzów. Nie przypadkowo rozpadł się reprezentowany przez młodzież nowohutnicką na lipcowym zlocie w Warszawie zespół pieśni i tańca. Inicjatywa „z zewnątrz” była najczęściej inicjatywą żywnościową, bezplanową, nierzadko nieprzemysłową, jak na przykład wybór tematyki do niecierpliwych zesztych odczytów. Odczyty o... astronomii (ze szczególnym uwzględnieniem komety Halleya). Cóż to za doskonała metoda mogąca zapewnić odwołanie odczytu z powodu braku słuchaczy!

Kulata sprawa świetlic i „czerwonych kąciaków” (placówek życia kulturalnego w poszczególnych blokach). Nie interesowano się dostatecznie sprawą nauki i czytelnictwa. Przez długi czas nie były organizowane wypożyczalni i rozrywki. Nie była i nie jest rozwiązana sprawa sportu. Pewne ożywienie kulturalne, jakie można było zaobserwować w Nowej Hucie w ostatnim okresie, nie upoważnia jeszcze do twierdzenia o zasadniczym przełomie. Konkretnie zapewnienie warunków do zaistnienia tego przełomu, zorganizowanie i ożywienie pracy kulturalnej w Nowej Hucie — oto zadanie, jakie miała na celu sesja wyjazdowa Ministerstwa Kultury i Sztuki (w dn. 12 maja).

Realizacja tych zadań zależy — jak było to referowane — od trzech czynników: 1) od aktywnego, wzmocnionego działania aktywnego społecznego i kulturalnego Nowej Huty, uruchomienia sił miejscowych, 2) od realizowania przez wszystkie szczeble nadzórne przyjętych na siebie zobowiązań wobec Nowej Huty, 3) od porozumienia i zgrania miejscowego aktywności w wszystkich instytucjach i nadzórnych we wzajemnym planie i działaniu.

Doświadczenia, z jakimi dzielił się pracownicy kulturalno — oświatowi oraz ich wnioski i detyderaty ukazywały jasno kierunek, w jakim powinna zostać skierowana praca kulturalna w Nowej Hucie. W wypowiedziach wszystkich dyskusantów przewijało się jedno zasadnicze stwierdzenie: praca kulturalna prowadzona w wymiarach ogólnonarodowych nie da rezultatów, jeśli nie zostanie ściśle połączona z bezpośrednim kontaktem i oddziaływaniem na odbiorcę. Pierwszy najtrudniejszy etap pracy — to zainteresowanie robotnika, rozbudzenie w nim świadomości politycznej i społecznej, rozszerzenie zainteresowań. Nie dokona tego samo ogłoszenie ani nawet najbardziej udany plakat. Nie dokona tego wtnięcie mu do ręki biletu na przedstawienie, o którym robotnik nie może się dowiedzieć niczego poza tym, że się odejdzie. Wstępne informacje wypowiadane na pięć minut przed podniesieniem kurtyny — jak stwierdzili dyskutanci — nie tylko nie mogą zainteresować, ale często są niezrozumiałe.

Bezpośredni kontakt z ludźmi, podjęcie pracy przede wszystkim na terenie świetlic i bloków, bezpośrednio dotarcie do robotnika — oto linia pierwszego i głównego ataku. Kontakt ten oczywiście objąć musi nie tylko ludzi teatru, satyryków, dziennikarzy, pisarzy, prelegentów Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Kontakt z mieszkańcami Nowej Huty powinni nawiązać również studenci, inżynierowie (po gadanki z dziedziny produkcji, dzielenie się doświadczeniami, zapoznanie z metodami radzieckimi), zespoły amatorskie pobliskich wsi, tak chętnie witane przez ludzi, których kontakt ze wsią jest jak najbardziej żywy. Była w dyskusji omawiana sprawa samorządów blokowych, sprawa budowania kolektyw kulturalno — oświatowych na „Czerwonych Kąciakach”, konieczność dotarcia do robotników nie tylko w ich blokach mieszkalnych, ale i na terenie pracy, w kombinacie i oddziaływania tam za pomocą propagandy wizualnej, „Błyskawic”, radiowęzłów.

Żywy bezpośredni kontakt z mieszkańcami, dążenie do wypracowania jak najbardziej urozmaiconych i ciekawych form tych kontaktów — oto jedna z głównych dróg do zainteresowania szerokiego mas mieszkawców Nowej Huty życiem kulturalnym. Z problemem tym łączy się ściśle sprawa wypełnienia imprez kulturalno-oświatowych materiałem związanym z życiem miasta, z jego specyficznymi problemami, z trudnościami i osiągnięciami ludzi tam pracujących. Popularyzowanie doświadczeń zespołów, wysuwanie przedstawieli i racjonalizatorów, pętnowanie bumelantów i brakorobów, notowanie osiągnięć i „uderzanie” w błędy — oto tematy, które włączono w treść imprez zainteresujących ludzi, pomogą im w pracy, przełamią bierny stosunek do akcji kulturalno — oświatowych. To nasycenie materiałem dotyczącym bezpośrednio życia Nowej Huty szczególnie zasługuje na uwzględnienie przy wszelkich programach satyrycznych.

Sesja rozszerzonego Kolegium Ministerstwa Kultury i Sztuki w swej rezolucji wytyczyła konkretne, przemysłowe, przedyskutowane z miejscowym aktywnym drogi rozwoju życia kulturalnego Nowej Huty. Została usunięta jedna z podstawowych przeszkód w realizacji zadań kulturalno — oświatowych w Nowej Hucie a mianowicie zła koordynacja i rozproszenie organizacyjne. Mianowanie pełnomocnika rządu oraz jego zastępcy jako głównych organizatorów tej pracy na terenie Nowej Huty zapewnia ściśle koordynację pracy. Podjęte zostaną również kroki w celu zlikwidowania drugiej poważnej trudności: niedostatecznej bazy działania, jaką stanowią pomieszczenia świetlic i bibliotek oraz sale kinowe, teatralne, estrady. Na okres tymczasowy (dopóki nie zostanie zbudowany teatr i Centralny Dom Kultury) będą oddane do użytku trzy przenośne baraki — świetlice.

Kolegium wzywa wszystkie instytucje nadzórne oraz rady narodowe, aby udzielały jak największej pomocy aktywności kulturalno — oświatowej Nowej Huty. Zwraca się z konkretnymi zaleceniami i postulatami do wszystkich głównych placówek kulturalno — oświatowych, żeby zacytowały tylko niektóre, najważniejsze:

„Centralny Zarząd Teatrów obejmie patronat nad zespołami teatralnymi i bezpośrednią opiekę nad teatrem „Nurt”, udostępni mu kostiumy i teatry krakowskich oraz wzmocni jego kierownictwo przez zatrudnienie etatowych pracowników. Ponadto zorganizować będzie w Nowej Hucie 4 przedstawienia teatralne w miesiącu przez teatry krakowskie.

Państwowa Organizacja Imprez Artystycznych „Artos” zwiększy ilość występów swoich бригад do 6 w miesiącu oraz dołoży starań, aby program tych imprez był dostosowany do odbiorcy w Nowej Hucie.

Centralny Zarząd Oper, Filharmonii i Instytucji Muzycznych zorganizuje wyjazd brigady Filharmonii Krakowskiej i solistów do Nowej Huty oraz zorganizuje dwa koncerty w miesiącu. Przeprowadzi również programy do potrzeb słuchacza Nowej Huty. Pomocą w zorganizowaniu zespołów pieśni i tańca Nowej Huty przez etatowe fachowe kierownictwo.

do Ministerstwa Oświaty o rozwinięcie szerokiej akcji szkolnej dla pracujących;

do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego o włączenie kół naukowych do prac społecznych w Nowej Hucie;

do Centralnego Urzędu Kineematografii o budowę kina i o zaopatrzenie kin filmowej tematyką o Nowej Hucie i jeszcze szersze upowszechnienie filmów;

do Komitetu do Spraw Radiofonii „Polskie Radio” o nasycenie programów rozgłośni krakowskiej problematyką Nowej Huty oraz o pomoc we właściwym funkcjonowaniu radiowęzłów;

do Głównego Komitetu Kultury Fizycznej o rozróżnienie placu nad kulturą fizyczną w Nowej Hucie, o budowanie stadionu sportowego i hali sportowej oraz o udzielenie pomocy sportowcom w zrzeszeniu w upowszechnianiu sportu, pomocy w zaopatrzeniu i budowie urządzeń sportowych.”

Zrealizowanie tych planów zależy nie tylko od instytucji, które są tu wymienione. Egzamin zdać muszą aktywiści Nowej Huty — od ich pracy, od ich zorganizowania współdziałającego z nimi szerokiego kolektywu zależą wyniki akcji, która na pewno zapoczątkuje przełom w rozwoju życia kulturalnego w mieście, które towarzyszy Bierut nazwał „chłubą naszego narodu”.

Helena Zaworska

TADEUSZ ALEKSANDER JASIŃSKI

BRON PRZECIWI LUDOWI

(Fragment powieści)

WIEŚC o tym, że Lipski ścigał do pracy na swoich polach kilkunastu denikinowców obozujących w Szczepiornie i Kaliszu obiegła całą okolicę. W poniedziałkowe przedpołudnie goniący majątkami jeździli na pańskich koniach. Na ich wezwanie ludzie ścigali setkami do Górzna. Szli robotnicy dominialni z Sobótki, Kotowiecka, Lewkowa, Będziszyna, Borowca, z Gałazek Wielkich i Małych, Gutowa i Szczur. Drogi były bardziej zatłoczone niż w niedzielę. Trwał stan pogotowia. Teraz już nie występowali osobno, ludzie z jednego folwarku przeciw swojemu panu, ale wszyscy razem. Wszyscy zdrowi: mężczyźni i kobiety całej okolicy byli zmobilizowani i gdy zaszła potrzeba łączyli się, by nie dopuścić do załamania strajku. Walka stawała się gorętsza, wymagała lepszej organizacji.

Ludzie gromadzili się na szosie, przy chałupach. Nowicka stała z Jadwiną na ręku koło chałupy, a jej mąż Michał kręcił się ze Sturczykiem i Wojtąkami wśród ludzi. Tym był większy niż w niedzielę przed kościołem. Prawie wszyscy byli uzbrojeni w kije. Kobiety brały najmłodsze dzieci na ręce. Nikt nie chciał zostać w taki czas w domu. Wszyscy pragnęli przychylić się do zwycięstwa strajku.

Minęło południe, kiedy ruszyli na najbliższe pole, gdzie pracowała niewielka grupka. Było ich może pięćdziesięciu. Ochraniało ich dziesięciu żołnierzy. Strajkujący pewni swojej siły poszli prosto na nich. Dowodzący chorąży nie miał odwagi wydać rozkazu strzelania. Przecież się więc przez oddział i przegoniwszy łamistraków poszli drogą z Górzna do Górzynka. Po obu stronach drogi zboża tworzyły żywopłot. Pochód wydłuził się teraz, bo droga była wąska i wyglądała jak wielobarwna wstęga rzeki, płynąca między srebrzystymi brzegami. Powietrze było pame jak przed burzą. Zdałoby się, że niebo obniża się i lada chwila zabraknie powietrza. Nie wiał nawet najmniejszy wietrzyk. Cisza nabrzmiała niepokojem wstąpiła nad idącymi. Nowicki szedł teraz obok żony. Wziął Jadwinę na barana i udawał jeźdźca. Było coś wzruszającego w ich

zabawie. Marysia i Władzia, jak wczoraj w ataku na pańskie ławki w kościele, tak i dziś przewodziły gromadzie dzieci. Przeważał jednak nastrój poważny, skupiony. Wszyscy zdawali sobie niejasno sprawę, że dzień ten będzie decydujący, że musi nastąpić przelanie. Bez denikinowców i petlurowców hrabia musi ustąpić. Z daleka było ich widać. Skosili już pola przy drodze z łakami. Było ich co najmniej dwustu. Nowicki oddając żonie Jadwinie szepnął do niej: „Zda się, że będzie gorąco, nie ustąpią tak łatwo, ale „damy gadzinom

metrów, osiemdziesiąt, pięćdziesiąt... ludzie zaczęli biec. Na nich, na nich! Szeroko rozlała się fala ludzka i zatoczyła krąg, jak gdyby chciała uchwycić łamistraków w kleszcze. Karabiny drżały w rękach żołnierzy broniących łamistraków, czekali ze strachem na rozkaz strzelania. Pierwszy szereg nacierających już zwał się z oczekującymi, ręce z karabinami spadły, żołnierze nie chcieli strzelać.

— To co teraz robić, panie chorąży? — Wezwać do zaprzestania strajku, a jeżeli nie ustąpią...



Rys. St. Szmidt

— To strzelać? — To załadować się na auta i pojechać tam, skąd przyjechaliśmy. — A przecież był rozkaz rozebrać.

— A co pan myśli, że we dwóch będziemy go wykonywać? — uciął chorąży już teraz ostro.

— Żołnierze są przecież pod moimi, pod naszymi rozkazami.

— Tak to prawda, ale kto oni są? Poborowi ze wsi i co, myśli pan, że będą...

We wrogą ciszę wdarł się przepity i chropawy głos zastępcy komendanta policji.

— W imieniu prawa i Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej — zawołał uroczysto — w imie-

niu prawa, wzywam was do rozejścia się, nieprzeszkadzania pracującym i zaprzestania strajku.

Niespokojna cisza trwała znowu. Przerwał ją po chwili okrzyk bojowy denikinowców, którzy sporego pomoc zawrócili z bezładnej ucieczki i rzucili się do kontrataku. Uzbrojeni w grabie chłopcy, broniąc się rozpaczliwie, uciekali jedni na przelaj przez łąkę, inni by połączyć się z grupą stojącą przed wojskiem. Jednak napór denikinowców był tak wielki, że spokojnie stojąca grupa chłopów została pod ich naporem zepchnięta ze ścierniska na łąkę. Wojsko, policja i dowódcy cofali się teraz pospiesznie, w miarę jak napierał na nich tłum uciekających chłopów.

Cofający się tłum miał teraz tylko jedną drogę wyjścia: przebiec się przez bagnety policji i wojska. Dowódca kompanii, patrząc rozpaczliwie na następujących ludzi, zawołał niezwykłym cieniem głosem: — Do ataku, szykuj broń!

Chłopcy zatrzymali się. Denikinowcy wykorzystali sytuację, rzucili się na nich z kosami, utworzyli się teraz wielkie kłębki ludzi. Pierścieni wokół chłopów zaczęli się coraz bardziej. Nie widząc innego wyjścia otoczeni rzucili się znowu w stronę wojska. Policja zaczęła strzelać. Dowódca kompanii wojska wydał również rozkaz strzelania.

Żołnierze wymierzili w stronę strajkujących karabiny. Padł rozkaz. Wśród ludzi rozległy się jęki, okrzyki przerażenia. Tłum cofnął się jeszcze trochę pozostawiając między nacierającym wojskiem kilkoma towarzyszami, nie wiadomo — rannych tylko, czy zabitych. Z zatrzymanego tłumy wyszedł mężczyzna z maleńkim dzieckiem na ręku. Był to Nowicki. Stał przed porucznikiem, który podniósł rewolwer do góry, wyrzucił. Nowicki zwał się z nogą, a Jadwiną stoczyła się do pobliskiego rowu.

Chłopcy przez chwilę patrzyli na to, co się stało osłupiali i przerażeni. Łąka w blaskach popołudniowego słońca mieniła się na przemian czerwienią krwi, która schnąc przybierała kolor rdzawo-czerwony, i zielenią traw.

Tadeusz Aleksander Jasiński

T O S A L U D Z I E

Z niejaką trudnością wydukał, oddzielając poszczególne sylaby, to „zdemoralizowanie” i z nieśmakiem splunął. Nie wiem, czy była to gorzka kłopotliwa tytoniu, który palił, czy też gorzkie wspomnienie. W każdym razie, po takim oczyszczającym zabiegu, wyrzucił z siebie sztycherco i mściwie:

— Amigranci... Ja bym ich... Przyjechał tu jeden z drugim nieczym do Kanady, popatrzył na te siedem ha... i rzucił robotę. Jeden tylko jedyny do tych pór tu siedzi. Taki, jak go nazwać, miejscowy amigranci...

Rozwiesił się na wspomnienie „miejscowego amigranta”, złośliwie uśmiechał się przez chwilę i rozgaład się na dobre:

— ...Siwek, niejaki, Adam. Kombinator, można powiedzieć, najgorszy w moim rewirze. Najpierw się chciał z rzędem procesować i groził, że zda gospodarce. Na łaskę losu, znaczy się, zda. Później wniósł do gminnej rady życzenie, że gospodarce owszem, poprowadzi, ale życzy sobie tylko trzy ha na najlepszym miejscu w gromadzie posiadaci. A kiedy zmłarkował, że w gminie w Widuchowej nie było kpy siodła, zaczął z innej strony. Ze strony obywatelskich dostaw, znaczy się. Chował jedną swinie przez okragłutki rok, zakontraktowaną. I pod koniec roku ten jego kontraktowany „tucznik” ważył co 30 kilo... Łypnął na mnie okiem, czy też dając wiarę jego słowom i ciągnął:

— To są ludzie — oświadczył zdecydowanie, cmoknąwszy wargami. Oczywiście, gajowy Ignacy Kapiec, jako satyrki z urodzenia, korzystał nieświadomie z uprawnień tej warstwy ludzi i przejawiał, gwoli uwypuklenia, negatywne strony życia pierwszych, często właśnie liczących na „lekki tchleb” oświeleńców. Jednak do faktów bezspornych zaliczyć trzeba, że te okoliczne, przygraniczne, głuche i gospodarczo zapuszczone za junkierskich czasów polacie gryfińskiego Nadodrza, nie cieszyły się powodzeniem wśród pionierów osadnictwa.

Wiosną ubiegłego roku po uchwaleniu Prezydium Rządu w opustoszałej Rynicy zamieszkało osiemnaście chłopskich rodzin z rzeszowskiego. Osiemnaście rodzin, wobec których Kapiec poraz pierwszy chyba w życiu złożył swoją broń urodzonego sztycherca i kłapza.

O tych ludziach to ja wam pokażę do-ku-ment... Kapiec podetknął mi pod nos wymiętoszoną stronicę „Gromady — Rolnika Polskiego”.

— Czytajcie! U dołu, w wytłuszczonej ramce, pod tytułem: „Meldunek gromady Rynicy — do Obywatela Ministra Rolnictwa” widniały następujące słowa:

„My, 18 rodzin nowoosiedlonych rolników gromady Rynicy, powiatu gryfińskiego, województwa szczecińskiego, przybyliśmy na nasze stare ziemie piastowskie w pierwszej

dla dobra naszej kochanej Ojczyzny Ludowej, oddawiamy do punktu skupu żywiec. Ob. Franciszek Ragan odstawił dwa tuczniki o wadze 343 kg., ob. Józef Wilk 320 kg., ob. Michał Lidwin i inni odstawił po jednym tuczniku. I tak się staramy i starać będziemy, aby gromada nasza świeciła przykładem i wzorem rolnikom całego województwa”.

— No, co wy na to?

Słońce dobiegło linii horyzontu i pomalutka zatapiało się w Odrze. Kapiec w zamyśleniu spoglądał na czerwieniącą, gładką powierzchnię tej odległości, tafle wody. Nie podniósł głowy i wtedy, kiedy za naszymi plecami zabrakłał spokojny głos życzący nam dobrego wieczoru.

— Siadajcie sołtysie — gajowy niedziwiony, nie oglądając się, klepnął dłoń w soseny pień.

Przybyły zapytał: — Ile wam jeszcze należy się kopalniaka do wiecz?

— Ostatnio żęście wywieźli — rachował Kapiec — coś będzie tego ze 100 kubiłków... Ile jeszcze dacie radę?

Zostawił Lidwinowi czas do namysłu i zagadał:

— Widzicie! — I plany drzewne, państwowe, wykonują jak się należy ci z Rynicy, choć im jeszcze nie musow.

Tymczasem sołtys, pragnąc widocznie dobić jakiegoś targu, wtrącił:

— Poradzilibyśmy coś nie coś przed zniżkami, ale jak z tym naszym?

— Powiedziałem, — to zrobię — rzekł gajowy. — Deski będą i belki także samo... Co za niewierny naród... Za budynki opuszczone, pomajtkowe, chcą się brać. Do remontu, znaczy się — dorzucił tonem wyjaśnienia.

— Po cóż wam one? Zabudowania przecież wszędzie solidne — zdziwił się.

Sołtys Ignacy Lidwin spojrzał na mnie podejrzyliwie, jak bym zagroził jego planom gromadzkich inwestycji i z wyrzutem w głosie odpowiedział:

— Jakże to? A może na jesieni albo z wiosną spódnictwa u nas nastanie? To dziś nie mam o nią dbać? Dziś już potrzeba świetlicy jak się patrzy...

Za Odrą, w domkach niemieckiego Vierraden, zapalały się pierwsze światła.

A tam — mówił dalej chłopek — niby Niemce, a też spokojnie, porządnie, widać, ludzie. Czasami człowiek popatrzy: pracują w polu, tak samo jak my...

Bogdan Chocianowicz



Rys. St. Gierowski

— Niech mnie romantyz pokręci, jak łąkę.

Spytacie zresztą w Rynicy. Przez tydzień, niebiorak, wydziwiał, że mu nie przyjęli i wozil parę razy... Amigranci...

— A ci, nowi!...

Twarz Ignacego Kapcia zamieniła się w plastyczny symbol podziwu i uznania.

połowie 1952 roku na osiedlenie. W dniu 28 marca 1953 roku, jako pierwsi z gromad naszego powiatu, zakończyliśmy w swojej gromadzie całkowicie siewy zbóż kłosowych, to jest 25 ha owsa, 10 ha pszenicy, 15 ha jęczmienia i 8 ha grochu i mieszanek. Ponadto, chociaż jesteśmy zwolnieni na mocy uchwały Rządu od dostaw żywności, jednak z wdzięczności za opiekę nad nami i

HENRYK WORCELL

Dzieje trzeciego etapu Konkursu Czytelniczego

opisane wiernie w gromadzie Zdarzyce Dolne



Rys. K. Lattalo

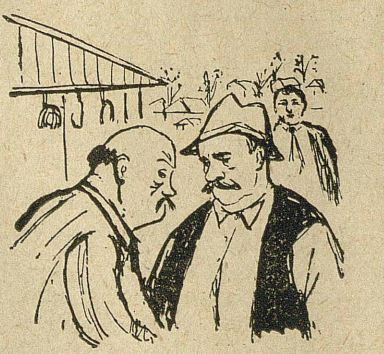
NA zebranie organizacyjne Konkursu Czytelniczego III stopnia w Zdarzycach Dolnych przybyło około 40 osób. Mało, ale i tak dobrze, bo Zdarzyce to gromada trudna, jedna z najmniej uspołeczonych w powiecie, opłaniana przez sporą klikę „kumotów”, która z zasady hamuje każdą akcję zmierzającą do przemian gospodarczo-kulturalnych.

Referent kulturalno- oświatowy Powiatowego Zarządu ZSCH w Dziekanowie, ob. Balicka, wytłumaczyła zebranym co to jest konkurs czytelników i jakie znaczenie ma dla rozwoju czytelnictwa, podniesienia kulturalnego i uświadomienia społecznego mas chłopskich. Udało jej się przekonać, nawet porwać, słuchaczy i kiedy przystąpiono do organizowania zespołu czytelniczego sprawa ruszyła gładko, większość obecnych zgłosiła się do uczestnictwa w konkursie. Zespół podzielono na 3 grupy i wybrano też grupowych. Prowadzenie grupy I, w środkowej części wsi, powierzono żonie kowala Piwnickiej, jako jednej z najbardziej odczytanych i wykształconych (ukończyła 6 kl. gimnazjum). Grupa II w górnej części wsi oddano pod opiekę Rucińskiej, b. prezesa ZSCH, mającego ustaloną opinię działacza i człowieka odczytanego. Grupa III, czyli dolną część wsi, miał prowadzić Maciło, człowiek mało czytający, ale za to uznany jako wzorowy gospodarz, przodownik pracy, wywiązujący się z dostaw zboża, mleka i mięsa ponad plan. Ten przyjął obowiązki grupowego z wyrazem niechęci. Nad wszystkimi trzema grupami miałem czuwać ja. Do moich obowiązków należało dostarczanie książek poszczególnym grupom, pouczanie grupowych, organizowanie wieczorów głośnego czytania i dyskusji, słowem — kierowanie całością konkursu w gromadzie liczącej 1200 mieszkańców.

W pierwszych dniach grudnia zabrałem się do roboty. Jeden z warunków konkursu opiewa: „Uczestnicy III etapu obowiązani są przeczytać 5 książek wybranych z wykazu konkursowego”. Właśnie chodziło o zdobycie jak największej ilości tych książek. Około 60 egzemplarzy uzyskałem z Powiatowego Zarządu ZSCH, z punktu bibliotecznego prowadzonego przez mnie i drugiego punktu, istniejącego od dawna na poczcie. Resztę, tj. ok. 20 książek, wywiliłem z bibliotek prywatnych w gromadzie.

Już w pierwszych dniach akcja konkursowa napotykała na pewne trudności. Prawdę mówiąc powinienem był przewidzieć, mieszkać przeciw w Zdarzycach dość długo i znam trochę ludzi.

Piwnicka wycofała się z akcji. Na moje pytanie — dlaczego? — nie dała wyraźnej odpowiedzi. — „Nie chce być grupową i tyle, niech ktoś inny obejmie tę funkcję”. Domyśliłem się o co chodzi. Jej mąż, Piwnicki, to jeden z najgłośniejszych przeciwników wszystkiego co postępuje, człowiek wpływowy przy tym i w swej nienawiści do władzy ludowej zaciekle, poza tym popijbrat trzymający ścisły sojusz z miejscowymi „kumotami”. Zdażył już swoją żonę tak dokumentnie „u-



Rys. B. Butenko

świadomić”, że ta wycofała się z konkursu nie tylko jako grupowa, ale i jako czytelniczka. Oświadczyła mi, że jeśli chce czytać, to sobie wybierze książki jakie się jej podobają, te „dobre” — przedwojenne, Marczyńskiego, Mniszkówny, Pitagorasa, a nie akurat te, co w konkursie

W przyszłym roku obchodząc będziemy dziesięciolecie Polski Ludowej. W myślach, jakie wybiegają naprzeciw tej rocznicy, nie ma miejsce zajmują u czytelników i pisarzy gorączkowe obrachunki — w jak m stopniu w głównych chęciach zakresach naszego życia odzwierciedliła literatura historię lat, w których naród polski dziełowej dokonał przemiany. Charakterystyczne pod tym względem są dyskusje zbiorowe robotników i listy chłopskie do redakcji pism. Wciąż w nich wylicza się całe listy wiatków i zakresów pod adresem pisarzy. Poczuł się godność pracy, jej wielkość i doniosłość. Ludzie uprzytomniają sobie pozycję i wagę galei produkcji, w jakiej pracują i wolać wielkim głosem o zapis w literaturę, o dokument historii, jakim w świadomości literatura utrwała rzeczywistość. Więcej, ludzie wolać o ciąg dalszy rozpoczętej opowieści w każdym zakresie naszego życia. Coraz bowiem głębiej odczuwają puls historii, wielkiej historii, która w Polsce studzie upadku odrabia w lat dziesięć.

Toteż z prawdziwą radością dołączamy każdą pozycję, która chwyta nie tylko jeszcze przez pisarzy fragment naszych nowych dzieł. Do takich ujęć należą oczywiście w literaturze zaliczyć by trzeba wielką historię rewolucji kulturalnej na wsi. Trzeci już raz, co roku wznawiany, odbywa się Konkurs Czytelniczy we wszystkich prawie wsiach polskich. Co roku potężniej i głębiej przeobraża umysły i serca milionów ludzi. W jego zasięgu w jego organizacyjnym przebiegu dzieje się doprawdy dzieje.

Gdyby tylko z pietyzmem i troską kronikarza sporządzić wierny dziennik jednej gromady, ujrzelibyśmy jak w blasku książki i oddanych jej sprawie zapaleńców pierzchają mroki zacołania, jak na światło jej wysokiego sądu wywleczone wrogie tejeje w przestrachu osamotnienia i potworności swych czynów. W jakiej jednej kronice-dzienniku ujrzelibyśmy wielkie a szczegółowe przemiany w każdej gromadzie. Niezwykłym reflektorem byłaby taka kronika.

Taka kronika została napisana. Jesteśmy wdzięczni Henrykowi Worcellowi, że wdał się w samo jądro rewolucji czytelniczej na wsi. Jego dziennik organizatora III etapu konkursu na gromadzie, w której mieszka, napisany został z pasją działacza kulturalnego i z ambicją pisarza. W literaturze monograficznej zajmie pozycję jedną z najciekawszych i najbardziej pasjonujących czytelników wiejskich. Bo choć przedstawia konkretną gromadę w jej indywidualnych losach kulturalnego rozwoju, to właśnie szczegółową konkretnością wywoła u każdego czytelnika odzew w stu jego sprawach. Stanie się zwierciadłem i konfessorem.

Przebiegając się będzie mógł każdy chłop, odnaleźć siebie i porównać z innymi. Będzie musiał dokonać rachunku sumienia własnych i cudzych na gromadzie grzechów. Będzie porwany pięknem ludzi, którzy dojeżdżają w przemianach kultury, którzy o nią walczą i ugruntowują jej potrzebę.

Dziennik Henryka Worcella drukować będziemy w kilku odcinkach, mając błąd nadzieję, że wydawnictwa zainteresują się w miarę zysknie monografią i wydadzą ją szybko, jako jedną z pozycji pokłosa Dni Oświaty. Książki i Prasy.

REDAKCJA

Drugi grupowy, Maciło, też zawiódł. Tego tegęgo, przatego, na społecznym krwią gospodarza spotkałem w chwili gdy rozmawiał przed kuznią z Piwnickim, typem równie okazałym, dobrze trawiącym swoją codzienną funtową porcję baraniny. Doprawdy, można by pomyśleć, że obaj wyszli z kart satyrycznego pisma, zapomnieli tylko ustawić się na tle pełnych wórow. Gdy oznajmiłem Maciło, że już mam książki dla jego grupy, zrobił wielkie oczy: — „Co, jak? Czy ja mam czas zajmować się takimi głupstwami. Idź pan do nauczycielki Krymskiej, ona akurat do tego pasuje”. Piwnicki milczał uśmiechając się okrągłą gębą jakoś złośliwie i wstydliwie zarazem. Mimo woli zrobiłem w duchu małe dodawanie — Piwnicka plus Piwnicki plus Maciło... i poszedłem dalej.

Wieczorem udałem się do nauczycielki Krymskiej. Po drodze spotkałem gospodarza Kajmra. Chudy, kościasty, wiecznie przygarbiony, chodzi w marynarce luźno zwisającej i z rękami w kieszeniach spodni. Twarz ma czarna, arabską, oczy wielkie i lśniąjące groźnie białkami; przypomina postać korsarza z powieści dla młodzieży. Pomyślałem, czyby jego miła córka, uczennica liceum, nie



Rys. St. Szmidt

podjęła się prowadzenia I grupy, ale odrazu zrezygnowała z niej. Dlaczego? Oh, to są sprawy takie delikatne, podświadome... Ot, idziesz człowieku drogą, rozmawiasz z kimś, dyskutujesz gorąco, zdałoby się, że nie nic nie widzisz, a jednak odruchowo omijasz bajorka, żeby butów nie zamoczyć. A Kajmer... Tak, dobry, pracowity chłop. Ma gospodarstwo, przy tym zarabiał parą koni dowożą zboże z magazynu na stację i jako rzemiełnik też coś nie co. Ludzom chętnie pożyczka. Mnie też kiedyś... I nawet się nie upominał. Ale co tam wspominać, lepiej ominąć. Nauczycielkę Krymską zastałem w domu. Narzekała na brak czasu, nawał pracy zawodowej, ale w końcu przy milczącej aprobacie ojca zdecydowała się zorganizować i poprowadzić II grupę, przyjęła książki, które jej przyniosłem. Niestety po upływie tygodnia przekonałem się, że nie nic nie zrobiła, musiałem szukać innej grupowej. Zawiódł również Gorczakowski, który w zastępstwie Piwnickiej miał prowadzić grupę I. Z nim była historia nieco kłopotliwa. Chłopak ten, jeden z ośmiu zetempowców zrzeszonych w miejscowym kole, zapalił się do roboty i obiecał, że zorganizuje zespół wzorowy. Gdy go odwiedziłem w kilka dni później tłumaczył się, że nie miał czasu, że jeszcze roboty nie mógł zacząć. Przy naszej rozmowie obecny był jego ojciec, człowiek ponad 50-ke, młczkawy, patrzący podejrzliwie — miałem wrażenie, że u niego nie tylko wasy ale i oczy są jakoś nastroszone. Syn po raz drugi przyrzekł, że zorganizuje zespół i rozda książki. Miał tydzień, znowu się zjawił u niego. Tym razem oprócz ojca zastałem dwie dziewczyny i starą Gorczakowską, kobietę chudą, nadmiernie wysoką, zlekka przygarbioną. Książka po izbie falującą długą spódnica i zer-

kając na mnie bokiem pochylonej twarzy. W pewnej chwili gdy syn zaczął się znowu tłumaczyć brakiem czasu a stary Gorczakowski wyniósł się chętnie do sieni, wtedy dopiero stara pokazała swoje długie jakby końskie zęby.

— Wy tylko po domach chodźcie, żeby od ludzi wyciągać! Robić tylko na was za darmo, podatk! dawać, mięso dawać, mleko dawać! Nic, ino dawać! Chwili spokoju nie ma, to jakieś konkursy, to gazety, to zespoły! A idźcie raz w pierony.

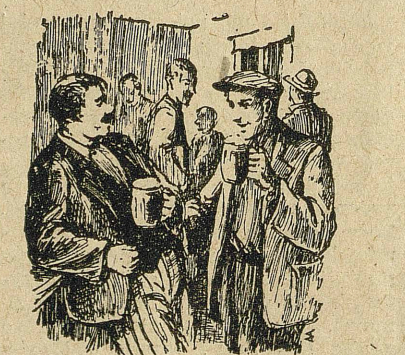
Nie było na nią rady, mijała się po izbie falując spódnica i brzygać śliną, nie dała dojść do słowa. Później dowiedziałem się, że jest to stała taktyka rodziny Gorczakowskich. Z chwilą, gdy jakiś agitator czy organizator akcji gospodarczo-kulturalnej zjawiał się w ich domu, stary Gorczakowski wychodził z izby zostawiając pole do popisu połowicy. A ta już wiedziała jak się do rzeczy zabrać.

Jakże inaczej sprawy poszły u Rucińskiej! Zastałem z nią z żoną i dorosłą córką, prócz nich był tam sąsiad Gozdawa i jakaś dziewczyna. Okazało się, że Ruciński czekał na mnie i na książki, ludzie chcą czytać, córka Maria chce prowadzić zespół. Z miejsca poczułem się jak wózdy swoich i przystąpiłem do rzeczy. Rozgadaliśmy się. „To świetnie, koleżanko Mario. Zostawiam wam 25 książek i niech koleżanka pamięta, że do konkursu trzeba werбовать również ludzi jak najmniej wykształconych”. Stary Ruciński z uśmiechem wskazał na swego sąsiada.

— Ot, bierzcie odrazu Gozdawę, Szkoły nie ma żadnej, tylko kurs dla analfabetów.

Zabawiłem u Rucińskich długo, mówiliśmy o książkach przez nich czytanych (mieli własną bibliotekę), o „Faraonie” Prusa, „Radiotelegrafistę” Kożewnikowa, „Czerwonym nurcie” Nexö — trudno mi się było wyrwać od nich. Umówiłem się z nimi, że przyjdę w niedzielę, poczytamy sobie jaką książkę, może fragment „Matki” Gorkiego. Oczywiście Gozdawa także będzie i jeszcze trochę ludzi razem do 12 osób.

Późnym wieczorem, wracając do domu, wstąpiłem do gospody po papierosy. W sali bufetowej siedział przy stole 4-ch ładowaczy z rampy kolejowej, a przy ladzie soltys Gruby i brat Kajmerowej, Justek, popijali piwo. Soltys był mocno podchmielony, w jego spojrzeniu dojrzałem coś zaczepliwego i to właśnie skłoniło mnie do zatrzymania się przy ladzie bufetu — zamówiłem piwo. Przez parę minut wszystkie w gospodzie milczeli. Justek człowiek drobny, czarniawy, o ujmującej twarzy południowca, zerkał ku mnie parokrotnie, chciał coś powiedzieć, ale pierwszy odezwał się soltys Gruby. Spojrzał na



Rys. St. Szmidt

papiery, które trzymałem pod pachą i szczerząc królicze zęby, rzekł: — Pisz pan, pisz... Tak, niech pan tylko pisze, wszystko notuje.

Wiedziałem o co mu chodził. Przed miesiącem był w Zdarzycach pewien publicysta z Warszawy, rozmawiał z niektórymi ludźmi, zwłaszcza z ob. Tekliką i na podstawie tego wywiadu opublikował krytyczny artykuł o stosunkach panują-

cych we wsi, zaatakował soltysa. Od tego czasu soltys boczy się na mnie, jest przekonany, i słusznie, że to ja skierowałem publicystę do Teklickiej Zresztą on zawsze odnosił się do mnie nieufnie, ale teraz już zdecydowanie zaliczył mnie do swoich wrogów.

— Dobrze — odparłem podnosząc szklankę z piwem — to, co pan mówi, zanotowałem sobie już w pamięci. I co jeszcze?

— No nie... niech pan tylko eee... pisze — zakreślił palcem w powietrzu. Justek pociągnął go za rękaw: — Daj spokój, co się czeplasz ludzi.

Wyszedłem z gospody robiąc w duchu małe dodawanko: Piwnicki plus Maciło plus Kajmer plus Gorczakowski plus soltys Gruby plus Justek...

Czas uciekał, była już ostatnia dekada grudnia. Nie licząc na niczyją pomoc, sam przystąpiłem do organizowania grupy w środkowej części wsi zamieszkałej przeważnie przez inteligencję i półinteligencję: nauczycielstwo 7-klasowej szkoły, nauczelnika poczty, zawiadowcę stacji kolejowej, kierownika magazynu zbożowego, kierownika piekarni, pracowników biurowych z okolicznych zakładów przemysłowych, sklepową, połóżną, bufetową z gospody itp. Tych nie trzeba było zachęcać do czytania, sami poszukiwali książek grymasząc według swoich gustów. Wiele książek konkursowych dawno już przeczytali: „Stara baśń”, „Pana Tadeusza”, „Lalkę”, „Faraona”, „Króla Chłopów”, „Za chlebem” — teraz chę-



Rys. B. Butenko

nie brali powieści Nexö i Balzaka, ze względu na ich rzetelny realizm, a z radzieckiej literatury powieści o Stalingradzie Simonowa i Niekrasowa, którymi byli raczej rozczarowani. „Tam nie ma — oświadczył mi jeden z urzędników, niedoszły prawnik — tam nie widać pojedynczych bohaterów, jest tylko masa bohaterów w zburzonym rowisku”. Tylko!

W dolnej części wsi, gdzie miałem zwerbować III grupę czytelników mieszkali rolnicy i kilkunastu robotników dojeżdżających połączonym do okolicznych zakładów przemysłowych. Wstąpiłem najpierw do wdowy Tatareckiej mieszkającej wspólnie z zamężną siostrą. Znałem ich, wiedziałem, że książek w ogóle nie czytają, a sama Tatarecka to półanalfabeta, krzątająca się wiecznie koło swego dwuhektarowego gospodarstwa i jednej krowiny. Jak je tu podejść? Mówić o konkursie, o warunkach, robić z tego wielką rzecz — spłoszą się, nie zechcą przystąpić do zespołu. Zaczęłem mniej więcej tak: „Ha! mam tu dla was coś dobrego” i spośród książek wyjąłem jedną: „Chóby była” Lewandowskiego. A że książka była z obrazkiem, więc odruchowo sięgnęły po nią... A to jakaś rasowa — zauważyła Tatarecka wskazując na ilustrację — ale ma wymię!... „To i wasza krowa może mieć takie wymię, tylko musicie wiedzieć, jak się z bydłem obchodzić. A w tej książce właśnie jest napisane: jak i co trzeba robić. Mogę ją wam zostawić”. Po tym dopiero powiedziałem im coś nie co konkursie i na dodatek zostawiłem jeszcze Jagłina „Uprawę lnu”. Na odchodnym Tatarecka zadała mi pytanie, które w okresie trwania konkursu nieraz słyszałem: co się należy za te książki? Sprawa drażliwa. Ludzie na wsi, zwłaszcza starsi, nie wierzą, by im dawano coś bezinteresownie. Z nieufnością do akcji konkursowej spotykałem się parokrotnie. Były niedomówienia, były też wyraźne aluzje: „Coś za tym się kryje, oni by za darmo tego nie robili”. Trzeba im było sprawę wyjaśnić w ten sposób:

— Nie, za książki nie się nie należy. Dostarczę wam jeszcze ile chcecie i też za darmo. Za książki płaci ZSCH i państwo. Ale nie myślcie, że państwo robi na tym zły interes. Bo jeżeli przeczytacie książkę dokładnie, to zobaczycie, że jest możliwa, by wasza krowa dawała dziennie 17 litrów mleka, a nie 12, jak dotychczas. Zastosujcie w swoim gospodarstwie rady zawarte w książce. A jeżeli będziecie mieć więcej mleka, to i odywianie wasze będzie lepsze, będziecie zdrowi, mocniejsi, więc i lepiej będziecie pracować, a przez to i Polska będzie mocniejsza. Czytajcie uważnie, to będzie wasza zapłata za książki.

Było mi przyjemnie, gdy kobiety odprowadziły mnie do drzwi i na pożegnanie zapewniły, że wieczorami będą czytać.

Henryk Worcell
(C. d. w następnym numerze)

IRENEUSZ GWIDON KAMIŃSKI

U GNIEZNIENSKICH BIBLIOTEKARZY

Lubawy

COS nie coś się zrobiło, ale coś to wszystko znaczy w stosunku do potrzeb terenu? Bo potrzeby „terenu”, czyli ośmiu punktów bibliotecznych gminy Klecko w powiecie gnieźnieńskim, Lubawy zna doskonale. Poprawi okulary na nosie i zerkać za ukosa wylicza:

— Młodzieżowej literatury wydzielają nam jak na lekarstwo. „Piątkę z ulicy Barskiej” i „Jak hartowała się stał” np. po jednym egzemplarzu. A tu dobijają się bezustannie o obie pozycje. I komu dać? Tak samo „Pamiętkę z Celulozy”: zamówiły wszy tkie punkty, bo ludzie powieści ciekawi, a ty człowieku możesz dać tylko jednemu. Chyba losy ciągnąć, czy co?

Lubawy wzrusza ramionami jakby litował się nad ignorancją tego „kogoś” w Naczelnej Dyrekcji Biblioteki, który czesując jednym egzemplarzem „Pamiętkę” kilkuset czytelników gminy Klecko.

— Wzajem na ten przykład spółdzielnię produkcyjną Czechy. Młodzież chętna, mają zespół czytelników, dyskutują — owszem — kilka dyskusji urządził, a teraz samego Nowego chcieli zaprosić, ale coś — muszą czekać na kolejkę. Będę mógł im książkę dać dopiero w e w r z e ś n i u...

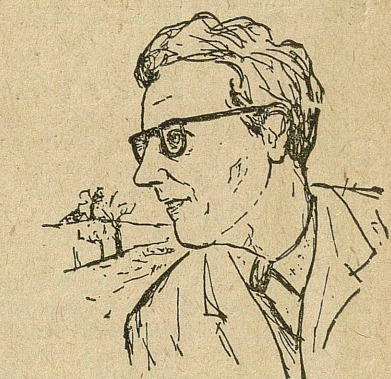
Nic tylko kłopoty, powiedzmy, repertuarowe ma bibliotekarz z Klecka. Oto w spółdzielni produkcyjnej Brzozogaj nie ma żadnego pomieszczenia dla książek. ZSCH nie ma pieniędzy na zakup szafy, natomiast Wydział Kultury PRN w Gnieźnie ma pieniądze, ale rzekomo szafy nie może dostać. Tymczasem księgozbiór w Brzozogaju, przetrzuciemy z kąta w kąt, niszczące.

— Szafy nie mogą dostać. Koń by się uśmieł. Widocznie w PRN siedzi jakiś burokrata, który nie umie znaleźć drogi do stolarni... — mówi Lubawy.

Największą troską Lubawego była sprawa stworzenia aktywu czytelniczego. Wyjeżdża często do wszystkich punktów bibliotecznych, pomaga redagować gazetki ścienne i afisze reklamowe, organizuje naraady. Na argumenty, że tak zwany „aktyw czytelniczy” to fikcja, wymyśl istniejący tylko na papierze, odpowiada z uśmiechem:

— Pętają się jeszcze po świecie różni bibliotekarze od siedmiu boleści, którzy pracy nie potrafią zorganizować. Dla nich aktywu jest fikcja, no pewno, jakżeby inaczej...

Wilkowia nie jest wsią spółdzielczą. Na różnych odprawach powiatowych wskazywano na tę wioskę jako na przykład szczególnie trudnego terenu. On wyprawiał się tam trzykrotnie nim wybrał odpo-



Rys. B. Butenko

wiednego kierownika punktu. Został nim średniorolny Lech Szymański, który sam lubił czytać, książki kochał, a nawet zaczął kompletować sobie domową biblioteczkę. Później, któregoś niedzieli wyjechali tam z ekipą.

Stawetna „ekipa”, składała się z najgorliwszych czytelników gminnej biblioteki w Klecku, którzy postanowili propagować czytelnictwo poprzez wyjazdy. Program nie był ucale skomplikowany: krótki występ, głośne czytanie fragmentów z „Chama”, a w części artystycznej trochę śpiewu, muzyki i inscenizacji pewnych partii powieści. Potem miała wystawa książek. Jak już się rzekło, po kilku wyjazdach (m. in. do spółdzielni produkcyjnej Próchnowo), ekipę przywitao Lubawy do Wilkowia. Impreza udała się — i to zapoczątkowało przełom. Dziś, po roku, tamtejszy punkt biblioteczny liczy 64 czytelników.

Podobnie było w Komorowie i Ulanowie. W samym zaś Klecku pracują 4 zespoły czytelnicze; biblioteczka liczy ponad stu stałych czytelników i drugie tyle sporadycznych gości. Najchętniej czytane pozycje to: „Pamiętkę z Celulozy”, „Pawie piora”, „Matka” i „Jak hartowała się stał”. Zespoły przygotowują na konkurs ZSCH „Ditte”.

Kim jest kierownik gminnej biblioteki w Klecku? Syn robotnika, który od zakończenia wojny pracuje jako woźny w szkole. Ma sześciorgo młodszego rodzeństwa, które, rzecz zrozumiała, prodzuje w czytelnictwie. Nic dziwnego, jeśli się ma t a k i e g o brata!...

Dowiedziałem się, że Lubawy w drodze awansu społecznego zostają sekretarzem Prezydium MRN. Będzie mógł odejść ze swego posterunku ze spokojnym sumieniem: wychował sobie następów. Gmina Klecko czyta i czytać będzie niewielej spośród gmin powiatu gnieźnieńskiego.

Frydrychowiczówna

KIEDY ojca hitlerowcy zamęczyli w Oświęcimiu, miała 9 lat. Rok po wyzwoleniu kraju zmarła jej matka. Trzynastoletnia dziewczynka poszła na służbę do kuliaka, który obarczał ją pracą nad siły i nie pozwolił jej się uczyć.

Ojciec gnój rozrzucił i ty będziesz do śmierci rozrzuciła. Po co tobie książka?

Podczas któregoś ze smutnych wieczorów, gdy ukradkiem w oborze zapalała świeczkę żeby sylabiować głoski, postanowiła, że zostanie bibliotekarką. Pokochała kolumny czarnego druku zamknięte w różnobarwnych okładkach miłością sieroca, silniejszą od głodu. Im częściej marzyła o niedosiężnym zawodzie, tym silniej wierzyła w swoją przyszłość. Mała, szczupła Teresa Frydrychowicz z Witkowa pod Gnieznem...

Zajęło jej się losem miejscowego koła ZMP; zaczęła chodzić do szkoły, później na wieczorowy kurs do kształcenia. W roku 1951 przerwała pracę i wyjechała na kurs bibliotekarski. Do rodzinnego Witkowa wróciła już na stanowisko bibliotekarki, odznaczona za bardzo dobre postępy w nauce.

W roku bieżącym mijają dwa lata od czasu jak wypełniła nieuprawną ręką pierwszą kartę biblioteczną. Przez ten okres biblioteczka przybyło 270 czytelników; ma ich w sumie 472. Zapytana, w jaki sposób udało jej się osiągnąć taki przyrost, uśmiechnęła się z zakłopotaniem:

— Właściwie... nie wiem jak to się stało...

Nie szkodzi. Wszyscy, którzy stają się z niestrudzoną bibliotekarką z Witkowa mogą coś na ten temat powiedzieć. Zaczęła od wzrokowych form propagowania książki: sporządziła szereg kolorowych afiszów reklamowych, ozdobionych obwolutami, z krótkimi opisami i atrakcyjnych je w głównych punktach miasteczka. Chwyliło. Ludzie dopytywali się o „książki z afiszów”.

Natomiast próby urządzenia publicznych dyskusji nad książkami spotkały się początkowo z niepowodzeniem. Na „Gwiazdy w jeziorze” Wasilewskiej nie przyszedł nikt, na „Pawich piorach” Kruczkowskiego były aż... 4 osoby. Dopiero trzecia z kolei dyskusja nad „Pamiętką z Celulozy” udała się: czterdzieści osób na sali!

Był to wielki dzień Teresy. Jeszcze przed rozpoczęciem strasznie się denerwowała, ale gdy nauczyciel Drejza zaczął wygłaszać słowo wstępne — niepokój ustąpił. Przedmówcą koła ZMP, Sobota, zare-



Rys. B. Butenko

cytował trzy wybrane przez nią fragmenty, które tak się podobały, iż domagano się więcej. Ona czytała, a później prowadziła dyskusję. Wieczór zakończył się ucale nie w sposób oficjalny: oto po dłuższej pogawędce na temat przeczytanych wyjątków, Teresa mówiła długo od serca o tym jakim dla człowieka przyjaciółm może być książka. Przekonała.

Odtąd coraz więcej chętnych zgłaszało swą pomoc. Organizowana sobie „s z t a b”. Na następny dyskusję o „Ludziach z za rzeki” Bartelskiego przybyło już 65 osób. Wzrastała ciagle liczba wypozyczek, wubiali się coraz to nowi przewodnicy czytelnictwa. Oto uciech Witkowski, który rozwiązał bezbłędnie konkurs „Czy znasz literaturę radziecką”, oto pięćdziesięcioletnia Pelagia Walczak, która przeczytała 50 tomów przez dwa miesiące, oto Irena Zuffdółówna, pielegniarka, która zwerbowała dwadzieścia stałych czytelników.

Kierowniczka miała pozyskać sobie czytelników spośród byłych analfabetów. Teresa Szymańska i stary Kawka są stałymi gośćmi biblioteki. Wiedzą, że dostaną lekturę taką w sam raz dla nich — żywą, interesującą a przy tym nie żadne kolubryny na 500 stron, przez które trudno się przepokpać, lecz krótkie nowele i opowiadania.

Jeśli chodzi o plany, to Frydrychowicz zamierza zorganizować „lotną” wypozyczalnię. Kilku księgonoszy wyruszy do zakładów pracy i do prywatnych mieszkań, z przenośnymi biblioteczkami, z którymi chętni wybiorą sobie interesujące ich utwory. Pomysł godny podkreślenia, niewątpliwie przyczyni się powołanie do spopularyzowania czytelnictwa.

Ireneusz Gwidon Kamiński

Nad powieścią o studentach

STANISŁAW KISIECKI

W BIAŁOSTOCKIM ROSNĄ LUDZIE...

PRAWIE rok temu dyskutowano na łamach „Wiś” nad „Pokoleniem”. Czeski. Wydaje się, że tamta dyskusja najpełniej ujawniła niezaspokojone oczekiwania na dobrą książkę o młodzi. W międzyczasie wyszła „Piątka z ulicy Barskiej”. Jednak i te dwie pozycje nie zaspokoily potrzeb. Świadectwem tego było szerokie zainteresowanie, jakie wywołała zapowiedź „Sztandaru Młodych” podejmującego druk „Herkulesów” Stawińskiego.

Pierwsza książka o studentach, a więc pionierski temat, z góry wiadomo, nie wolny od błędów, które należy autorowi wybaczyć. Zgoda. Ale to nie usprawiedliwia w pełni błędów.

Stawiński pisze o białostockiej Akademii Medycznej. Jednym z jego głównych bohaterów jest Józef Gander, syn chłopca z Podlasia. Studentami Akademii są w przeważającej mierze maturzyści białostockich liceów. I chociaż niektórzy krytycy pisząc o „Herkulesach” twierdzą, że „stwierdzenie autentyczności miejsca nie jest istotne — nie chodzi przecież o reportaż” — sprzeciwiałbym się temu kategorycznie. Właśnie jestliś mowa o Białym-

stoku to na książce niezatarty ślad powinny pozostawić konkretne sytuacje życiowe.

Już pierwsze rozdziały drukowane w „Sztandarze” wzbudziły poważne obawy. Czy Gander, Sapiński, Wiśniewski poruszają młodzież i czy staną się postaciami, które będą miały szansę takiego oddziaływania na młodzież, które w rezultacie przyspieszą jej dojrzewanie? Myślę, że „Herkulesy” szansę tę w dużej mierze zaprzepaściły.

Dominujący w powieści konflikt młodzieżowego dyktatora Sapińskiego i zahukanego cierpiącego na kompleks niższości Gandery jest o kilka lat spóźniony. Sam pracownikiem kilka lat w organizacji młodzieżowej w jednym z białostockich liceów i nawet wówczas takie proste, by nie rzec, prostackie konflikty były w latach 1950—51 trudne do pomyślenia już w szkole średniej. Wydaje się, że Józef Gander, w licealnej przeszłości przeciwko aktywistom ZMP jest w powieści mowolną karykaturalną ilustracją złośliwych dowcipów o „zahukanym chłopku”. A to ambitna, żywa i żądną wiedzy młodzież białostocką krzywdzi. Powrócił przed kilkoma dniami z powiatu kolneńskiego.

Była sobota i wąskotorówką do okolicznych wsi do rodziców wracali licealiści z Kolna. Czasu było dużo i wiele rozmawialiśmy o książkach. Jeden z nich przegladając kolejny odcinek „Herkulesów” w „Sztandarze”. Kiedy go zapytałem, czy regularnie czyta odcinki powieści powiedział: — Dajcie spokój. Wolę „pamiętkę z Celulozy”!

Nie zatrzymuję się nad kwestiami zobrażenia codziennego studentckiego trybu w powieści Stawińskiego. Te środowiskowe momenty najbardziej prawdziwie przemawiają do czytelnika. Ale najcięższy zarzut wytoczyć należy przeciwko autorowi za uproszczony obraz już nie tylko pracy organizacji młodzieżowej na białostockiej Akademii, ale także za ubóstwo postaci Józefa Gandery i jego rodziny na wsi. W Białymstoku studiują wielu moich kolegów i znajomych. Żaden z nich, na szczęście, nie daje się porównać do Gandery. Czy z tego można zrobić autorowi zarzut? Myślę, że tak. Kilkaśniedzielną wyjazdów w Białostockie i szereg zaobserwowanych trudnych problemów upoważniają mnie do stwierdzenia, że zbyt powierzchownie wygląda autorska wiedza o życiu białostoc-

kiej wsi. Czyż zacośanie tego województwa nie oznacza, że teraz przy jego generalnej i postępującej naprzód przebudowie wszystkie problemy nabierają szczególnej ostrości i obfitują w dramatyczne sytuacje i spieć? A czy można je kwitować schematami? Czy wiedząc o budowlach białostockich, choćby tylko w samym mieście, jeśli już nie w Zambrowie, Augustowie czy pracach przy Bugu, można bezrozko postawić rozgraniczenie między sprytnymi ludźmi z miast jak Sapiński, a zahukanymi ze wsi jak Gandera tak jakby się na tej „ziemi w jarzmie” nic nie zmieniło?

Z równym powodzeniem można by akcję tej powieści umieścić gdziekolwiek indziej. Jeśli nie ma w niej głębokiej i trudnej — a to odpowiedzialne słowo — prawdy życiowej, jeśli zbyt łatwo i bezrozko buduje się niewymyślne szablony, czyż taka powieść „chwyci”? Daje to zgola nieherkulesowy wynik.

Bilans tej oceny jest niewątpliwie jednostronny. Ale w Białostockiem rosną ludzie i nadal domagają się o swoim życiu książki bardziej heroicznej.

Stanisław Kisiecki

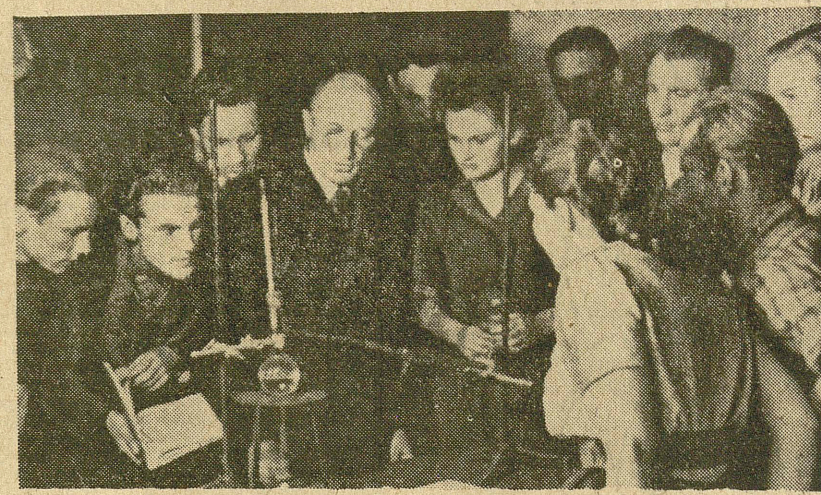


Foto CAG

TADEUSZ TOMKIEWICZ

GDZIE BIAŁOSTOCKA ZIEMIA?

CHCIAŁBYM się zatrzymać trochę nad całokształtem powieści, nim przejdę do mniej czy więcej ważnych szczegółów. Akcja powieści rozgrywa się w latach 1951—1952 na nowoorganizowanej Akademii Medycznej w Białymstoku. Autor zdaje się niedaleko odbiegać od ogólnych schematów, które występują w wielu naszych powieściach i opowiadaniach tego rodzaju. Schemat ten można by streścić mniej więcej w ten sposób:

Organizacja młodzieżowa działa, pracuje, ale całym jej motorem jest jakiś jednostka. Jednostka ta musi posiadać konieczne wygórowane, fałszywe ambicje, cechy dyktatorskie. Wszyscy się przed takim indywidualnym korzą, po cichu buntują, ale słuchają jego rozkazów. Później znajduje się ktoś, kto ostro występuje przeciwko dyktatorstwu, rzuca nową myśl, którą wszyscy popierają. W rezultacie usuwają tę ogólną jednostkę z zespołu czy z organizacji i później następuje błogostawiony spokój, sumienna praca, ogólna harmonia w organizacji.

I jeszcze jedna rzecz, której oczywiście nie można pominąć milczeniem, ani... wybaczyć autorowi. To jest sprawa znajomości wsi białostockiej i ukazania jej w powieści. Trzeba wiedzieć, że okres ten był okresem wielkich przemian na Białostocczyźnie, był okresem wydzwignięcia się tego terenu z wieloletniego zacofania gospodarczego i kulturalnego. Czy zostało to dostatecznie nakreślone w powieści? Nie, wypadło raczej bardzo słabo. Zgadza się z tym, że książka miała za cel ukazanie życia młodzieży w imnym środowisku. Ale, do kaduka, przeciw głównemu bohaterem powieści jest właśnie chłopak wiejski, Gandera. Dlaczego więc nie zwrócić więcej uwagi na sprawy wsi?

Autor ukazuje swego bohatera jako syna średniaka z Podlasia, który dzięki „własnym zdolnościom i nowemu ustrojowi” ukończył z dobrym wynikiem szkołę średnią i przez nią został skierowany na A-

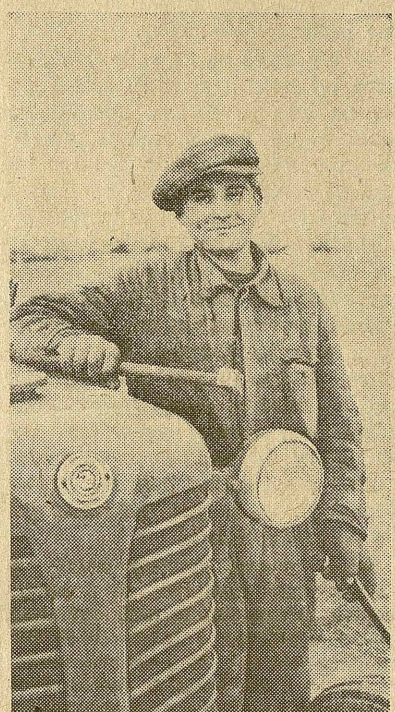
kademię, bo miał „smykalkę do medycyny”. Na wstępie pisze się, że Gandera był wielkim aktywistą młodzieżowym, pracował od trzech lat w ZMP, pisał referaty, wygłaszał je itp. Ale z dalszych rozdziałów wynika, że nie miał pojęcia, co to jest walka klasowa, na przykładzie własnej wsi nie mógł powiedzieć nic konkretnego. W ogóle w całej powieści uwidocznia się jakiś sztuczny podział wśród młodzieży „na miasto i wieś”. A Gandera wyszedł jak jakiś chłopak z zapadłej, odciętej od świata dziury. I tu właśnie uwidocznia się brak znajomości terenu. Południowe tereny Białostocczyzny wcześniej spotykały się i wchłonięły w siebie te prądy nowożytne, które przeszły w latach powojennych przez polską wieś. Charakterystyczne to cyfra 42 spółdzielni produkcyjnych, istniejących już w 1950 roku na terenach Podlasia. To jest sukces niełada jak na te lata. Sukces, który świadczy o wielkim przełomie wśród chłopów. Okres ten charakteryzuje poważny wzrost czytelnictwa książek i prasy, które w roku 1951 określało się cyfrą 52 tysięcy czytelników w skali województwa. A tymczasem w rozdziałach mówiących o wsi gdzieś to zupełnie zanika. I co gorsze zetknięcie się Gandery z rodziną, jego polemiki na temat spółdzielczości są mdłe, nie mają właściwych barw i ostrości życia. A samo zachowanie się Gandery? Uwaga! ludzi świadczą o nim jakoby o jakimś „pamieciu”, studentie pochodzącym „z dobrego domu”, tak często spotykanym w literaturze burżuazyjnej. Nie cieszy się tą popularnością, jaką cieszą się dziś studenci i uczniowie szkół wyższych pochodzący ze wsi.

Tak więc, mówiąc krótko, „Herkulesy” nie zaspokoily naszych pragnień. Książka zaledwie dotyka pewnych problemów — nie zawsze pogłębia je i nie zawsze przekonuje czytelnika.

Tadeusz Tomkiewicz



W białostockich włoskach młodzież rwie się do nowego życia i kultury



BRONISŁAW GOŁĘBIOWSKI

POWIEŚĆ O STUDENTACH BIAŁOSTOCKIEJ UCZELNI

NARESZCIE mamy powieść o studentach! Jest nią powieść „Herkulesy” Jerzego Stawińskiego. Powieść traktuje o jednej z najważniejszych stron życia studentów — o pracy organizacji zetempowskiej. Ale praca ta u Stawińskiego nie wiąże się ze wszystkimi istotnymi dla środowiska studentckiego problemami. Ukazana jest w pierwszych miesiącach istnienia uczelni jako całkowicie błędna i wypaczona, potem przełamuje się i szuka właściwych form nie mogąc rozwinąć się w pełną pracę polityczną i światopoglądową.

Jest to robota w dużym stopniu jeszcze administracyjno — organizacyjna, której decydującymi ogniwami są zebrania.

*

Białystok. Rok akademicki 1950-1951. W pałacu Branickich powstaje Akademia Medyczna.

Z całej Polski przybywają kandydaci, a szczególnie synowie chłopów, bo to przecież tereny odwiecznej nędzy chłopskiej w-przedludniowych wsiach. Autor trafnie wybiera bohatera. Józef Gander, syn średniaka z Wolic, przybywa na uczelnię z całym bagażem obciążenia charakterystycznych dla jego środowiska. Inni też nie wchodzą na uczelnię „gotowi”. Każdy ma swoje wady, opory, błędy. Uczelnia białostocka staje się dla wszystkich kuznią charakterów, woli, nowej socjalistycznej świadomości. Stawiński stara się ukazać ten długotrwały i skomplikowany proces. Nie udaje mu się jednak pokazać najistotniejszych, głębokich zmian w świadomości bohaterów. Dlaczego? Jednym z powodów jest wycinkowość, niepełność, nawet pewna powierzchowność w potraktowaniu tematu. Stawiński zbyt nieśmiało posługuje się fikcją literacką przy dobrej znajomości konkretnego środowiska, o którym pisze. Dlatego często kształtuje charaktery, postaci i sytuacje na peryferiach głównych problemów.

Mimo faktu, że mamy do czynienia z pierwszym rokiem w I semestrze — pominięcie naukowych konfliktów światopoglądowych w opisie środowiska, które interesuje się nie tylko chemią i anatomią (jak

w powieści) i to nie głównie od strony łacińskich nazw, ale także biologią, fizjologią itp jest poważnym brakiem książki.

Stawiński pokazując życie uczelni, nie pokazuje wychowawców — profesorów, asystentów. Jak jest ich oddziaływanie na młodzież? Jak oni pomagają studentom w zdobyciu nowej świadomości i pełnych kwalifikacji, jak zmieniają się sami widząc entuzjazm i rzetelną pracę?

Rektor uczelni w ujęciu Stawińskiego miał być pedagogiem pokroju Makareni. Jego charakterystyka jest najbardziej powierzchowna. „Wysoki, dziwnie młody” uśmiecha się przyjaźnie, uprzejmy, żyje jak studenci, bo jada w stołówce i parzy „sobie usta piekniełnie gorącą zupą”. Ale jak wychowuje, jak wpływa na młodzież naukowo — nie wiemy.

Stawiński pokazuje, że celem studentów jest nauka, zdobywanie kwalifikacji i temu celowi powinna być podporządkowana praca organizacyjna. Nie pokazuje jednak, że z realizacją tego celu powinna się najściślej spłatać praca polityczno-wyjaśniająca, wychowawcza, ofensywa światopoglądowa. Stawiński ukończył powieść w listopadzie 1952 r. 6-7 grudnia tegoż roku odbyła się w Warszawie ogólnopolska narada aktyw studentckiego, która postawiła przed organizacją zetempową jako jedno z głównych zadań: rozwijać i pogłębiać ofensywę ideologiczną, walkę o światopogląd marksistowski. Uczestnicy narady — czołowy aktyw z całego kraju — stwierdzili, że dotychczasowa praca była niezadowalająca, często zbiorokratyzowana, administracyjno — organizacyjna, bez akcji politycznej i wychowawczej.

„Herkulesy” ukazują ten historyczny już etap pracy organizacji zetempowskiej na wyższych uczelniach, ale nie w świetle światowej oceny i krytyki.

*

Bohaterowie Stawińskiego żyją, walczą, zmieniają się. Nie są to charaktery jednolite, ale skomplikowane i trudne, dynamiczne, zindywidualizowane. Gandera ze swą średniacką mentalnością nie może dojrzeć walki klasowej we własnej wsi, choć potrafi napisać o walce klasowej piękny referat na zebraniu ZMP. Nie wierzy już, ale do kościoła chodzi z przyzwyczajenia. Jest trochę nieufny, trochę naiwny,

cechuje go niepewność siebie, jest jednak uparty, pracowity, uczy się na błędach, przełamuje trudności, bo bardzo pragnie zostać lekarzem.

Ale ten nieprzearty ped do zawodu lekarza Stawiński motywuje dość nieporadnie. Gandera widział kiedyś lekarza z blizną na twarzy, słuchawką i otąd postanowił, że musi leczyć ludzi. Niewiele wiemy o Gandercie z czasów jego pobytu na wsi przed wstąpieniem na uczelnię. Niewiele i to rzeczy często powierzchowne. Nie wiemy, kto i jak wpłynął na jego rozwój? O ile jego obciążenia światopoglądowe już wtedy przełamywały się w walce? Jaka była jego aktywność społeczna, jakie konflikty z rodziną?

Srodowisko wiejskie jest zarysowane bardzo nieporadnie. Wnuk, sekretarz organizacji partyjnej, w gromadzie nic nam nie mówi. Stary Białas, były analfabeta, który nauczył się czytać i pisać od Gandery, opowiada (mimo zapewnienia autora o jego fantazji i mądrości ludowej) strasznie nudną bajkę o mrowisku, które ma symbolizować spółdzielnię. Jedynie żywa i ciekawa postać jest Jasza Białasówna, która dźwiga na swych barkach całe gospodarstwo, zdolna, chce się uczyć, ale warunki indywidualnego gospodarowania na to jej nie pozwalają, kocha się, czyta gazety, należy do ZMP i chce zorganizować koło ZMP we wsi. Gandera uczęszczając do szkoły średniej przebywał we wsi, przyjaźnił się z Jaszka, ale nie on ją wciągnął do organizacji, nie on założył koło ZMP, choć zetempowcem był już od 3 lat.

*

Z rodzinnych Wolic Gandera dostaje się po wielu trudnościach i perypetiach na uczelnię, gdzie popada w najprzeróżniejszy pod względem charakteru i pochodzenia społeczny zespół ludzi. Od razu trafia na Sapińskiego, dyktatora i pyszałka, człowieka o wybujałej, niezdrowej ambicji wodzowskiej. Pokorny, strachliwy, z kompleksami niższości i niewiary we własne siły Gandera — chłopiec ściera się z zadufanym w sobie dyktatorem, który tupetem, terrorem i groźbą odstrasza wszystkich. Rysy charakteru Sapińskiego są wyraźnie przejawskrawione na „czarno”. Niewiele wiemy, skąd one się u niego biorą, gdzie i kiedy się ukształtowały. W czasie okupacji był on w partyzantce w Warszawie

(w jakiej, nie wiadomo, prawdopodobnie w AK). Wtedy to obcował z kolegami — spekulantami i pijakami. Na uczelni, gdy jako członek Zarządu Uczelnianego ZMP organizuje pracę na nowopowstałej uczelni, stosuje terror, otacza się ludźmi słabymi i jemu podobnymi, gnebi wszystkich i odciąga od nauki przez beznamiętne i bezproduktywne przeciąganie studentów pracą organizacyjną. Sam daje jak najgorszy przykład — pije, sprowadza kobiety do akademika, „siedzi w kieszce” u Jarskiego — pijaka, chuligana, otwartego wroga. Czytelnik jest przekonany, że to wróg, dywersant, sprytna „wtyczka”. Nawet po zdemaskowaniu Sapińskiego i usunięciu z funkcji, gdy przyjeżdża do domu, okazuje się na dodatek, że jest złym synem, bo wyciąga od biednej matki ostatnie grosze na... wódkę.

Samo zdemaskowanie szkodnika następuje grubo za późno. Gandera mimo buntu, znosi „ucisk” i pisze referaty, nie potrafi dotrzeć do właściwych władz, aby postawić tę sprawę mimo swego wyrobiecia i stażu organizacyjnego. Również Wiśniewski, partyjnik, pozytywna postać bez oporów i wad, ale też i bez indywidualności, działa w tej sprawie dziwnie powoli, w oderwaniu od kolekcji, gdzieś tam w instancjach partyjnych, w komitetach...

Sapiński po ucieczce z uczelni wraca, zostaje przydzielony do grupy Gandery. Gandera jako sekretarz grup ma go wychowywać. Nie może się jednak zdobyć na przełamanie niechęci do byłego dyktatora. Widząc jednak jak Sapiński staje się dobrym studentem, Gandera zmienia stosunek do swego wroga. Zaczyna mu pomagać w nauce, Sapiński pomaga mu w pracy organizacyjnej. Z czasem stają się przyjaciółmi, a w okresie przed sesją zimową, gdy wzmaga się walka o naukę i o ludzi, razem walczą z ciuliganstwem, rozbijają i demaskują klikę Danikowskiego — Dietricha, wciągają do pracy społecznej Małowską, dziewczynę ze środowiska mieszczańskiego, która wyraźnie zmienia swą postawę życiową... Czytelnik jednak nie bardzo wierzy w przeobrażenie Sapińskiego do końca. To skutek obfitości czarnych barw, w jakich naszciciowany został Sapiński — dyktator. Przeobrażenie jest słabo umotywowane psychologicznie, jeszcze słabiej — w działaniu bohatera. Podstawowym jego

motywem jest groźba wyrzucenia z uczelni i z ZMP.

Przy kreśleniu postaci Gandery Stawiński również nie wykorzystał szansy pełnego pokazania przeobrażenia jego świadomości, procesu wyrugowania obciążań religijnych i nabytych w jakimś stopniu nawyków chłopca — posiadacza. Książka jedynie ociera się o ten problem.

Na uczelni Gandera nauczył się myśleć po nowemu, po nowemu oceniać świat i ludzi.

Ale jednocześnie z tą prawdą autor ukazuje trafnie u Gandery złą tendencję do odrywania się od wsi, machania ręką na ciemnotę z której wyszedł. „Mają swoje życie! Dobrze, ja mam też swoje, ciekawsze!”

*

Problem walki klasowej w „Herkulesach” jest zepchnięty na boczny tor. Odbywa się walka z chuliganstwem, sobkostwem, przede wszystkim na płaszczyźnie moralno — obyczajowej. Politycznej i ideologicznej ofensywy wroga nie widać. Również konflikt miłosny potraktowany został trochę w oderwaniu od podłoża ideologicznego powieści. Pomijając to, że Gandera ze swym trudnym charakterem trochę nieufnym uczuby raczej niechęć i lekceważenie dla „mieszczańskiej lalezki” Danusi, która go w tak rozbrajająco naiwny sposób „uwodzi”, wydaje się, że sam zawód miłosny bohatera został pokazany zbyt wyłącznie jako doświadczenie życiowe, a mógł być potraktowany więcej jako doświadczenie polityczne.

Są w powieści partie mocne, które stanowią zaletek spraw najistotniejszych dla problematyki aktualnej naszych uczelni.

Okres przed sesją zimową, okres konsolidacji aktywu wokół organizacji, jego troska o naukowe przygotowanie grupy, o Walacha i innych oraz ostry atak na wrogów, demaskowanie ich sobkostwa, szkodnictwa i wrogosci ideologicznej jest tego dowodem.

Sapiński i Gandera atakują Danikowskiego i Dietricha, a wtedy nawet Walach, ten Gandera podnieiony do potęgi, zajmuje zdecydowane stanowisko: „...nie potrzebuję łaski tych kolegów... i sam się nauczę. Ja mam też do nich niechęć... Klasowa”.

Wtedy w Gandercie wzbiera szlachetna pasja: „Nauczył tych mamin-synków rozum!” Nie „metodami sapińszczyzny”, ale przy pomocy i

poparciem opinii wszystkich uczelnych studentów. Tu zaczyna się u Stawińskiego kształtowanie kolektywu, kolektywnej pracy, walki, nauki, wychowywania wzajemnego.

Niestety, są to ostatnie strony książki.

A więc zagadnienie zostało poprzedzone perypetiami właściwymi uczelni białostockiej, zasygnalizowane w trakcie ukazywania drog przezwycięzania błędów „sapińszczyzny”, i pozostało otwarte. Pełna powieść o studentach czeka dopiero na swego twórcę. Musi to być powieść o kolektywnej studenckim, uczącym się, walczącym, zmieniającym się w gorących dyskusjach, wychowywanym przez profesorów i asystentów, przez partię i ZMP.

*

Niedopracowanie przez Stawińskiego koncepcji ideowej akcji i wątków odbiło się na konstrukcji i fabularnym układzie powieści. „Herkulesy” to powieść o studentach białostockiej uczelni, o ile zatem autor słusznie wykorzystał literacko fakt pomieszczenia akademii w pomagackim pałacu, o tyle niepotrzebnie i w nie uzasadniony sposób stworzył z tego konwencjonalne ramy. Wstępnym rozdziałem pt. „Rok 1768” można by darować zupełnie.

Gubienie się w szczegółach mało ważnych (np. wędrowki Gandery po komitetach) powoduje często dłuży.

Momenty kulminacyjne, np. przeżywanie zawodu miłosnego przez Gandercę stara się Stawiński uwypuklić wartkim tokiem opowiadania. Ale tok ten przeradza się w karłowate wykrzykniki, w których gubi się całkowicie prawdziwe ludzkie przeżycie Gandery, a wyziera tania sensacja.

Nie można powiedzieć o powieści Stawińskiego, że odznacza się żywym i dowcipnym, prawdziwie studenckim dialogiem i językiem. Róża używana często zwroty „urzędowe” w rodzaju „kolego Gandera”.

Dialogi też bywają nieporadne i banalne, np. dialog Wiśniewskiego z Gandercą o miłości i jej wartości (str. 217-218).

Mimo jednak tych czy innych wielu błędów książka Stawińskiego stanie się z pewnością przedmiotem żywych dyskusji studenckich i zachęci pisarzy do podejmowania ciekawych i trudnych tematów z życia studentów.

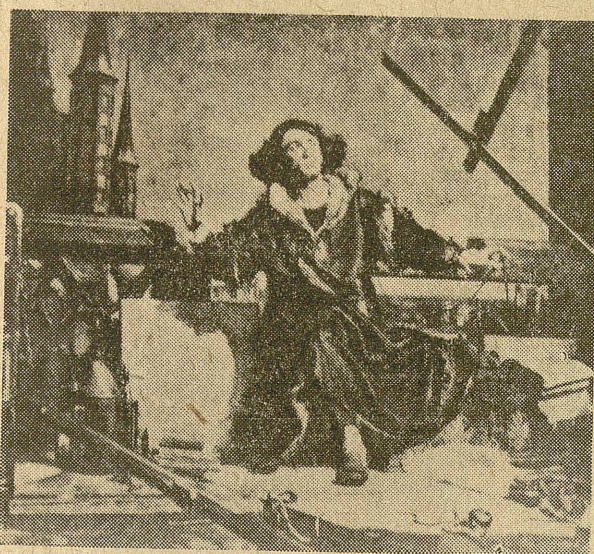
Bronisław Gołębiowski

* Jerzy Stefan Stawiński — „Herkulesy”. Wyd. „Iskry”. Warszawa 1953 r.

JANUSZ KUCZYŃSKI

O czynie Mikołaja Kopernika

W 410 ROCZNICĘ WYDANIA „DE REVOLUTIONIBUS”



APEL jest do wszystkich. Słowa jego docierają do serca Chińczyka, którego dumę ze swego Czu-Juana potęguje myśl o wielkim synu dalekiej Polski. O nim słowa pochwały głosi umysł Rosjanina. A do kolorowych, ale mrocznych jeszcze wybrzeży Afryki, słowa apelu niosą po raz pierwszy jego imię. Dla Murzyna gnębionego angielskim terrorem, dla walczącego o wolność Wietnamczyka, dla francuskiego doktora i sycylijskiego chłopca imię jego wiąże się ze sprawą pokój. Bo nieodłączna jest do sprawy pokój sprawa nauki i kultury. Narody walczące o pokój nie tylko chronią kulturę przed zagładą, narody znajdują w niej pomoc przeciwko barbarzyństwu. Wielkie postacie przeszłości uczestniczą dziś razem z nami w walce przeciwko „współczesnej” ciemności i zaojcowaniu, krzywdzie i niewoli. Wśród nich jest ten, którego imię Światowa Rada Pokoju wypisała na swych sztafardach — wielki polski uczyony — Mikołaj Kopernik.

Gdy Tomasz z Akwinu wrócił ze swej pustelni, gdzie na polecenie papieża Urbana IV „przystosowywał” Arystotelesa do religijnych potrzeb, kościół ostatecznie uwiarył swe dzieło, zaczęło w XI w. przez biskupa Anzelma z Aosty i Alberta hrabiego von Bollstaedt. Starożytna myśl grecka, która szczyt swój osiągnęła w filozofii Arystotelesa, pozbawiona została swej treści. „Kler zabił w Arystotelesie to, co żywe, a uwiecznił to, co martwe” — mówi Lenin.

Rozum zgwałcony i skrepowany przepisami scholastyki zaprzęgnięto w służbę wiary. Nauka stała się pokorną służebnicą teologii. Tych, którzy odważyli się przekroczyć granice kościelnych zakazów, czekały podziemne inkwizycje. Umysłom narzucano więzy, włączano religijne wyobrażenia, rozbijano z woli walki i buntu. Zhierarchizowana feudalna drabina uzupełniana była geocentrycznym wszechświatem. Na szczytach planetarnych sfer i hierarchii aniołów — Bóg. Na szczytach hierarchii ziemskiej — świeccy i duchowni feudalowie. A na samym dnie tej klatki, zbudowanej przez kościelne wyobrażenia, znajdował się feudalny chłop.

Myśl uczonych zakuto w kajdany scholastycznych ograniczeń. Zadaniem jej było nie badanie przyrody, ale „dowodzenie” teologicznych „prawd”.

Była to epoka niewoli rozumu, panowania zabobonu i przemożnej dyktatury kościoła.

Alę gdy nieustanny rozwój sił wytwórczych i walki klasowej buntowały się ludu zaczęły podważać ekonomiczną podstawę feudalnego społeczeństwa, w Europie poczęła się nowa epoka. Rozpoczęto walkę przeciwko uświęconym instytucjom, atakowano średniowieczny sposób myślenia i średniowieczne wartości. Kształtowała się kultura Odrodzenia.

Polska przeżywała rozkwit. Uniwersytet krakowski siał w całej Europie. Głośno były nazwiska filozofów i uczonych: Grzegorza z Sanoka, Sebastiana Paryskiego z Pilzna, Wojciecha z Brudzewa, pisarzy i działaczy politycznych: Kalimacha, Ostroroga, Modrzewskiego, poetów Janickiego, Reja i Kochanowskiego. A wśród nich największy syn polskiego Odrodzenia — Mikołaj Kopernik. Gdy 410 lat temu wyszło w świat „De revolutionibus” („O obrotach”) zadanie wyzwolenia rozumu z więzów średniowiecznych przesądów zostało dokonane.

Wykazując fałszywość geocentrycznego systemu Ptolomeusza i wykrywając prawdziwy obraz budowy świata, dokonał Kopernik największego w dziejach nauki odkrycia przyrodniczego. Ale światopoglądowa doniosłość czynu polskiego uczonego przekracza granice astronomii i nauk przyrodniczych. Engels pisał: „Czynem rewolucyjnym, przez który przyrodniczo-naukowe ogłosiło swą niezależność... było wydanie nieśmiertelnego dzieła, którym Kopernik... rzucił rękawicę kościelnemu autorytetowi w sprawach przyrodniczych. Odtąd datuje się wyzwolenie nauk przyrodniczych od teologii”.

Zburzenie geocentryzmu zadało potężny cios teologii. Każda religia, a najbardziej chrześcijańska, jest geocentryczna. Bo czy „wielki dramat upadku i odkupienia człowieka, w którym brał udział Syn Boży, mógł dokonać się na jakiegokolwiek małej scenie, a nie w centrum wszechświata?” — oburza się jeszcze dziś Jeans. Odkrycie Kopernika podważyło te podstawy. Od czasu wydania „De revolutionibus” religia straciła wszelkie „rozumowe”, „przyrodnicze” uzasadnienia. Przed oczami wyzwalającej się ze średniowiecza ludzkości zaważył się świat scholastycznych wyobrażeń. Człowiek nie dostrzegał już nad sobą klatki astronomicznych konstrukcji i męczących „niepotrzebnych dodatków”.

Zniszczone astronomiczne uzupełnienie i przedłużenie feudalnej hierarchii. Ale kto burzył „porządek niebieski”, ten wskazywał uciskany, że można burzyć „porządek ziemski”. Kopernik swą krytyką „nieba” ułatwił i przyczynił się do krytyki ziemskich podłości: nieludzkiego wyzysku i oszukiwania chłopów, szerszenia wśród nich przesądów i ciemnoty, gnębienia myśli naukowej i hamowania jej rozwoju.

Kolumb i Magellan odkryli Ziemię. Ale prawa nadał jej Kopernik; dawniej włączana na samo dno wszechświata, była „miejscem cierpienia i wyrzecz, przez które droga prowadzi do nieba”. Uczony polski zniszczył fikcyjną przepaść między „zią ziemią” a „doskonałym niebem”. Odkrył prawdziwy, rzeczywisty świat słońca i planet. Ziemia stała się jednym z milionów niebieskich ciał; jej mieszkańiec — człowiek — częścią wszechświata i gospodarzem swej bogatej, płodnej, urodzajnej planety. Ziemi nadawano ruch we wszechświecie; świadomości jego ożywiła umysły, przyspieszyła ziemski ruch życia ludzkiego.

Dzieło Kopernika było wyzwolające. Dokonać go mógł tylko uczyony i swobodny. „Kopernik, to człowiek wielkiego geniuszu i co w zagadnieniach astronomicznych specjalnie ważne — swobodnego myślenia” — mówił Kepler. Wielki polski uczyony był nowatorem. Odrzucił stojące na drodze badań naukowych, tamujące je, scholastyczne zakazy i kościelne autorytety. Badał przyrodę i prawdziwie było dlań tylko to, co było z nią zgodne. Posłuchajmy słów Józefa Stalina: „Nauka dlatego właśnie nazywa się nauką, że nie uznaje fetyszów, nie boi się wodnieść i

ki na to, co się przeżyło, co jest stare, i że czynnie przystępuje się głosowi doświadczenia, praktyki. Gdyby było inaczej, nie byłoby powiedzmy, astronomii i wciąż jeszcze musieliśmy poprzestawać na zmurszałym systemie Ptolomeusza, nie mielibyśmy biologii i wciąż jeszcze pocieszalibyśmy się legendą o stworzeniu człowieka, nie mielibyśmy chemii i wciąż jeszcze poprzestawilibyśmy na zakleciach alchemików”. (Przemówienie na I Wszelchwiazkowej Naradzie Stachanowców 17.XI. 1935 r.).

Odkrycie polskiego uczonego, to triumf nauki nad teologią. „Kopernik udziela dymisji teologii” — mówi Engels. To zwycięstwo rozpoczynało epokę nowożytnej nauki, rzucało fundament pod materialistyczne pojmowanie wszechświata.

Płonący stos Giordano Bruno rozpoczął jawny atak kościelnego obskurantyzmu i wstecznicstwa przeciwko nauce Kopernika. No! ańczyk ginął za głoszenie wśród włoskiego ludu prawdy o wszechświecie. Przerazający widok płonącego na stosie człowieka nie zatarł się jeszcze w pamięci mieszkańców „świętego miasta”, gdy kongregacja kardynałów umieściła na indeksie ksiąg zakazanych dzieło Kopernika. Tych, którzy bronili nauki wielkiego Polaka, inkwizytorzy starali się rzucić na kolana przed autorytetem biblii, zmusić do milczenia. W 1633 roku w więzieniu weneckiej inkwizycji przysięgał Galileusz. Z nakazu katolickiego kościoła z uniwersytetów Europy usuwano wszelki ślad kopernikowskiej myśli. Jezuita w napadzie pasji wykrzykiwał: „Ze wszystkich heretyków nauka o ruchu Ziemi jest jedną z najbardziej śmiesznych, najbardziej zgubnych, najbardziej skandalicznych. Łatwiej można by znaleźć dowody przeciw nieśmiertelności ludzi, istnieniu Boga i wcieleniu Chrystusa, niż dowód ruchu Ziemi”.

Wstecznicstwo świeciło chwilowy triumf. Ale nauki nie można zniszczyć, ani zatrzymać jej rozwoju. Teoria Kopernika stała się symbolem postępu nauki, symbolem walki z obskurantyzmem kościoła i wszelkich wstecznych sił. Jego imię wypisano na sztandarach materialistycznej filozofii i wielkiego przyrodniczo-naukowego Włochów Giordano Bruno i Galileusza, Niemca Keplera i Anglika Newtona, Francuzów Kartezjusza i Fontenelle’a, Rosjanina Lomonosowa, ojców kontynuatorów — Heveliusza i Śniadeckiego, Kohłaję i Staszica.

Dzieło jego nazwał rewolucyjnym Engels, a za wzór stawiał je Stalin.

Burżuazja stara się pomniejszyć zasługi naszego największego uczonego. Dla ginącej wstecznej klasy społecznej, materialistyczna treść nauki Kopernika jest nie do przyjęcia. Burżuazji potrzebne są przesady i fałszywe, a dla tych nie ma miejsca tam, gdzie triumfuje myśl wielkiego polskiego uczonego.

Lud polski budując dziś własną, socjalistyczną kulturę, opiera ją na najlepszych tradycjach przeszłości narodu i włącza do niej wszystkie wartościowe, trwałe osiągnięcia, przykłady postępowych i rewolucyjnych czynów. Wśród nich czołowe miejsce zajmuje wielki czyn polskiego uczonego — wyzwolenie nauki z więzów teologicznych ograniczeń. Siegamy do jego tradycji, bo one uczą nas dziś, że myśli ludzkiej trzeba wskazywać drogę naprzód, rozwijać ją, zwalczać przesady i błędy. Uczą one nas tego, że prawda nauk nie rozdziela się z postępem społecznym, toruje sobie drogę pomimo największych oporów wstecznych sił, ich kłamstw i terroru. Uczą nas dumy narodowej: piękna bowiem jest postać jednego z największych uczonych świata, który był rewolucjonistą nauki, humanistą wszechstronnym i polskim patriotą. Jego nauka i jego tradycje są dziś z nami w walce o nową kulturę, o nieustanny postęp nauki, o prawdziwe spojrzenie na świat.

Kopernik nie tylko otworzył nam drogę do dzisiejszego wszechświata miliardów gwiazd, wszechświata galaktyk i mgławic. Gdy przyrodniczy — mierzunowiec zakładał sad na dalekiej, mroźnej, syberyjskiej północy, gdy polski robotnik i inżynier budują o kilkanaście kilometrów od miejsca, w którym młody Toruńczyk zaczął tworzyć „niebieską rewolucję”, ogromne socjalistyczne miasto, gdy uczyony i działacz partyjny walczą o naukowy światopogląd studenta, wóknarza, chłopca — to u podstaw ich wysiłków jest też cząstka wielkiego czynu polskiego uczonego, który zbudował prawdziwy obraz świata, zniszczył przesadne wyobrażenia, ruszył ziemię ze średniowiecznych posad i otworzył drogi wspaniałemu rozwojowi nauk.

Janusz Kuczyński

LESZEK MECH

ŚLĄSK

Transparentami dymów co świt
Wschodzisz, Ojczyzno mej młodości.

Rytm klasycznego poematu
W parowych młotów uderzeniach
Słysz, A noc ma kształt płomienia,
Który nam wczoraj do ataku
Przeciw faszystom iść rozkazał,
I ręce, serca mieć z żelaza.

Patrz jak z okien domów nowych
Śmieją się dzieci do robotnic.
W chodniku kopaninami rębacz
Mieśnie maszyną ustokrotnił
I tylko oczu błysk spod powiek
Wciąż czuwa nad odstrzałem węgla.

W laboratoriach naukowych,
W salach doświadczalnych i pomiarów
Siwają nad przyszłością głowy
Z martenów tryskającą stalą.

Jutro jabłoniom, górskim sosnom
Pomoże człowiek w haldy wrosnąć.

Jutro tym z kopalnią, tym z odlewni
O dloniach jak szlifierki pewnych
Zabłyśnie czysty nieba diament,
W którym się promień nie załamie.

Tu niewyspane jeszcze żony
Częstują pocałunkiem mężów.
Tu, w kuchniach, pod garnkami płomieni
Jak fala syczy, tli się, pręży.
Tu górnik, hutnik marzą co dzień
O białym domku i ogródku.

Tu setki świrów, lokomotyw,
Umuzycznione w hutach młoty
Ziemi tej spocząć nie pozwolą,
Ziemi — co chlebem jest i solą.

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

OPOWIEŚĆ PRZYSZŁEJ NAUCZYCIELKI

Przedszkole — miedze wsi podlaskiej,
Gdzie dzieciaki błądy i niezdrowy,
Co świat spędzana z przyzy paskiem
Pasała gospodarskie krowy.

Cóż ze kaczęce, chabry, bociek —
Ów poetyczny świat mieszcza, —
Gdy nogi stale grzęzną w błocie,
A wiatr za sukienicę dmucha.

Chłopytś roztropny i wesoły,
Gryząc niedbale kawał ciasta,
Szedł gospodarski syn do szkoły.
Chłopytś na pana tam wyrastał.

Jak to się gospodarstwo śmieli,
Jak się oboju trzęsły brzuchy,
Gdy zimą któreś tam niedzieli
Znaleźli książkę u pastuchy.

I tylko bym umiała bałki
W bibułki stroić na Palmową,
I szeptać w szary mrok zdrowaśki,
I wiechciem boki czyścić krowom.

I sługa cicha i nieśmiała,
Co lęka się własnego cienia,

STANISŁAW DZIECHCIARUK

FILM O BOHATERZE NARODOWYM

WOJSKO Polskie stworzyła Partia i ona jest źródłem jego me-
stwa... Chwała Partii! Tak
brzmiał fragment historycznego już
dziś telegramu wysłanego Partii
przez generała Karola Świerczew-
skiego 10 maja 1945 roku. Zawarta
jest w nim głęboka prawda o na-
szym bohaterze.

Te prawdę o życiu i walce Karola
Świerczewskiego mówi nam także
noworealizowany film polski pt.
„Żołnierz zwycięstwa”. I to jest,
powiedzmy to już teraz, wielką za-
sługą jego twórców.

Zamierzenia scenarjopisarskie
„Żołnierza zwycięstwa” poszły po
linii stworzenia dwuseryjnej opo-
biograficzno — historycznej. Świad-
czy to o ambicji postawie twórczej
ich autorki. Fakt ten nakłada rów-
nież obowiązek stosowania, właści-
wych temu rodzajowi filmowemu,
norm oceny.

„Żołnierz zwycięstwa” posiada
wyraźną koncepcję strukturalną:
ukazuje chronologicznie kolejne
wydarzenia historyczne — etapy ży-
cia i walki Karola Świerczewskie-
go od lat dziecięcych aż do chwili
jego śmierci.

Revolucja 1905 roku, wojna świa-
towa w roku 1914, Wielka Rewolu-
cja Październikowa, rok 1936 w
Hiszpanii i druga wojna światowa
— to wydarzenia składające się na
wielką panoramę historyczną filmu.

Jasno zarysowana jest również za-
sadnicza koncepcja dramaturgiczna
filmu. Wyznaczają ją dwie linie:
walka o wyzwolenie mas pracują-
cych spod jarzma kapitalizmu i fa-
szyzmu i obóz zwyrównadliwych fa-
szystów najróżnorodniejszego auto-
ramentu.



Z odpowiedzi na pytanie, czy i w
jakim stopniu twórcy filmu po-
trafilili sprostać zadaniu, jakie wy-
pływało z tak ustawionej koncepcji
tematycznej i dramaturgicznej, wy-
stępującej z zasadnicze osiągnięcia i
nieodstąpił „Żołnierza zwycię-
stwa”. W stosunku do znacznej
części obrazów jakie ukazuje film,
można postawić zarzut: zbyt daleko
posuniętej selekcji materiału biogra-
ficznego.

Chwilami wyczuwa się jakby uc-
cieczkę przed codziennymi, „mały-
mi” realiami. Ma to doniosłe zna-
czenie szczególnie w serii pierw-
szej, gdzie zjawisko to obserwuje-
my dosyć wyraźnie.

Takie sceny jak: naklekanie ulot-
tek SDKPiL, demonstracja robot-
ników na ulicach Warszawy w
roku 1905, praca w fabryce, Rewo-
lucja Październikowa i pobyt w
Moskwie wyznaczają niewątpliwie
zasadnicze etapy w rozwoju ideolo-
gicznym Świerczewskiego.

Nie dają nam jednakże pełnego
obrazu wyrastania wielkiego bojo-
wnika o sprawę uciskanych narodów,
nie ukazują pełnego życia naszego
bohatera.

O ile materiał dokumentalny — hi-
storyczny znalazł tu możliwe peł-
ny wyraz, o tyle codziennie „ży-
cie”

Słuchać z pokorą bym umiała
Gospodarskiego zlorzeczenia.

Ale Ludowa Polska przyszła —
Ojczyzna robotnika, chłopca —
Zawrzała praca w stu przemysłach
I leziesz tysiąc miedzi rozkopał.

I błada Ceśka komornicy,
Którą los niegdyś z biedą swałał,
W uczniowskiej bluzce przy tablicy
Odrabiam zmarnowane lata.

Często przychodzą listy ze wsi —
Gdyż mieszkam w mieście, w internacie.
List, jak list, wszystko chciałby zmieścić:
Więc piszą mi, że radio w chacie.

Że jutro pójda wspólnie kosić
(Tu kilka słów „sercowych” marzeń),
Że na spółdzielnię się zanosi,
Choć bruźdzą wlewy gospodarze.

Niedługo — czas jak wiatr przeleci —
Powrócę, aby tam, nad Liwem,
Uczyć podlaskie nasze dzieci
Wydarte krzywdzie i szczęśliwe.



watne” życie Świerczewskiego
przedstawia się dosyć ubogo.

Wymienione sceny nabrałyby
znacznie większej siły, wyrazistości
i bezpośredniości, gdyby przedsta-
wione w nich fakty historyczne
przetransponowane zostały w więk-
szej mierze, aniżeli się to stało, na
wydarzenia bardziej powszednie.

Braki te w znacznym stopniu wy-
równuje seria druga.

Przy kreśleniu postaci Świerczew-
skiego nie wykorzystano niemal ża-
dnie wielkich możliwości, jakie
podsuwała tu metoda charaktery-
styki pośredniej. Wszak postać ge-
nerała Świerczewskiego, bohatera z
okresu wojny domowej w Hiszpanii
jest równie droga dla nas jak i dla
narodu hiszpańskiego. Świadczy o
tym chociażby wymówione z miło-
ścią i znane powszechnie określe-

dziejowym krył w sobie niebezpie-
czeństwo tych niedostatków. Czy
nie należało skoncentrować uwagi
na jednym okresie życia Świer-
czewskiego i raczej zrezygnować z
pełni czasowej na rzecz pełni fak-
tycznej, ideowo-artystycznej, jak to
się dzieje np. w „Czapajewie”?

Jest to, jak się wydaje, problem
do dyskusji.

Nie bowiem nie może przysionć
wielkich wartości „Żołnierza zwycię-
stwa”. I właśnie owe wartości
każą nam wierzyć w możliwość
przezwycięzania omawianych nie-
dostatków również w ramach istnie-
jącej koncepcji filmu

✱

„Żołnierz zwycięstwa” urzeka wi-
dzą wielką prawdą i głęboką ideo-
wścią. Ta ideowoś widoczna jest
niemal w każdej scenie i postaci.
Ona też przenika bohaterkie czynu
generała Świerczewskiego. Wycho-
wany w szeregach partii i klasy ro-
botniczej, całe swoje życie poświę-
ca walce o sprawę ludu. Za tę spr-
wę również ginie od skrytościwej
kuli faszystowskiego bandyty.

Głęboki humanizm socjalistyczny,
gorący patriotyzm i internacjona-
lizm — to zasadnicze rysy, przy
pomocy których realizatorzy filmu
potrafilili wydobyc całą prawdę o po-
staci generała Świerczewskiego. Te
cechy pozwalają bohaterowi naszymu
włączyć się nierozdzielnie z
klasą robotniczą, ukochać własny
naród i walczyć o wolność innych
narodów. Obok głównego bohatera
przedstawia „Żołnierz zwycięstwa”
szereg postaci dalszoplanowych,
stanowiących uosobienie cech no-
wego człowieka — rewolucjonisty.

Na czoło wysuwa się tu zwłaszcza
postać Stefana Pawłowskiego, jego
córki Wali i majora Bienia. Są to
ludzie bezgranicznie oddani spr-
awie rewolucji. Ale rola filmu nie
wyczerpuje się w ukazaniu postaci
pozytywnych. „Żołnierz zwycię-
stwa” pełni również doniosłą funk-
cję demaskatorską w stosunku do
wroga zewnętrznego i wewnętrznego.

Ukazuje jak faszizm torował so-
bie drogę dzięki takim postaciom
jak przemysłowiec niemiecki von
Ballen. Jak usiłował on zapuścić ko-
rzenie i w Polsce Ludowej drogą
szpiegowską — dywersyjnych kno-
wań takich osób, jak Terecki i Li-
ciański.

Film o generale Świerczewskim
jest również wielkim osiągnięciem
scenograficznym, operatorskim i ak-
torskim.
Duża rozpiętość czasowa i prze-
strzenna akcji filmu zmuszała sce-
nografa niejednokrotnie do tworze-
nia, jedynie w oparciu o materiały
dokumentacyjne, całych obrazów i
scen.

Postać bohatera filmu — Karola
Świerczewskiego — w interpretacji
Józefa Wyszomirskiego nabrała cech
głęboko realistycznych. Dominuje w
niej wielka prostota oraz naturalna
monumentalność.
Ten pobieżny przegląd zasadni-
czych braków i zalet „Żołnierza
zwycięstwa” każe nam widzieć w
nim nowe wielkie osiągnięcie kine-
matografii polskiej na drodze do
pełnego realizmu socjalistycznego.

Stanisław Dziechciaruk



PIOTR WICZOREK

Wychowanie politechniczne — ruch miczurinowski

Nasza piętnastoosobowa delegacja polskich nauczycieli, która przebywała w Związku Radzieckim od 28 stycznia do 26 lutego, zaznajomiła się z życiem i pracą szkół radzieckich, placówek pozaszkolnych, domów dziecka i przedszkoli oraz działalnością instytucji naukowych. Co do mnie, ze szczególnym zainteresowaniem przyglądałem się realizacji w ZSRR wychowania politechnicznego.

Towarzysz Stalin, omawiając w „Ekonomicznych problemach socjalizmu” trzy podstawowe warunki przejścia od socjalizmu do komunizmu, wskazał:

„...Trzeba po trzecie osiągnąć taki poziom kulturalny społeczeństwa, który zapewniłby wszystkim członkom społeczeństwa wszechstronny rozwój ich zdolności fizycznych i umysłowych, aby członkowie społeczeństwa mieli możliwość uzyskania takiego wykształcenia, które pozwoliłoby im stać się aktywnymi działaczami rozwoju społecznego, aby mieli oni możność swobodnego wyboru zawodu, a nie byli przykuci na całe życie, wskutek istniejącego podziału pracy, do jakiegoś jednego zawodu”.

Tak więc trzeci warunek przejścia od socjalizmu do komunizmu wiąże się wyraźnie z wychowaniem politechnicznym, którego celem jest, jak mówił minister oświaty RSFSR, tow. I. A. Kairow, na audyencji 31 stycznia br., „dać uczniowi podstawy techniki i praktyczne nauki, aby mógł wiedzieć, czym się zajmują ludzie danego zawodu i jaka istota pracy w danym zawodzie”.

Władza radziecka realizując wytyczne Towarzystwa Stalina i postulat XIX Zjazdu KPZR podjęła wysiłki w celu pełnej realizacji wychowania politechnicznego w szkołach.

Opracowano metodykę 5-ciu zasadniczych typów wycieczek szkolnych: 1) wycieczki w celu zaznajomienia ucznia z organizacją współczesnej produkcji; 2) wycieczki, których celem jest pokazanie źródeł energii i zapoznanie uczniów z zasadniczymi typami silników (elektrycznego i spalowego); 3) wycieczki, zaznajamiające uczniów z procesem przekazywania energii odbiorcom i z typami transmisji (od źródła energii do odbiorcy); 4) wycieczki, wprowadzające w technikę obróbki materiału (metal, drewno, szkło i inne); 5) wycieczki, zmierzające do zaszczepienia nawyków pracy.

Wiele uwagi poświęca się działce doświadczalnej przy szkole. Została w tej sprawie wydana specjalna Uchwała Rządu, zobowiązująca każdą szkołę do prowadzenia przy-szkolnej działki rolniczej. Uchwała ta głosi także, że urodzaj na działce nie może być gorszy niż w sąsiednim kolechozie.

Na działkach przyszkolnych pracują kółka młodych miczurinowców-naturalistów. Pracą kółek młodych miczurinowców kierują (centralnie — republikańskie i obwodowe — wojewódzkie) stacje agrobiologiczne. Stacja centralna organizuje również republikańskie zloty młodych miczurinowców, poprzedzane zlotami rejonowymi (powiatowymi) i obwodowymi (wojewódzkimi), na których dokonuje się oceny pracy i wytycza nowe zadania.

W zlotach biorą również udział nauczyciele biologii, agronomowie, uczeni, przodownicy pracy w kolechozach, tzw. mistrzowie urodzaju i laureaci Nagrody Stalinowskiej. Zlot republikański jest wielkim świętem dla pionierów, którego centralną częścią jest wystawa, ilustrująca osiągnięcia nad udoskonalaniem gatunków zwierząt i roślin.

Młodzi miczurinowcy obwodu niepropełetrowskiego mają poważne osiągnięcia szczególnie w dziedzinie

hodowli jedwabników. Młodzi miczurinowcy obwodu niepropełetrowskiego zajęli się studiowaniem wpływu pokarmu na wyniki hodowli jedwabnika. Oprócz 6 gatunków morwy wprowadzono doświadczalnie karmienie jedwabników liśćmi dębu, buku oraz brzozy.

Jak wykazały doświadczenia młodych miczurinowców, liście buku okazały się doskonałym pokarmem dla tzw. „jedwabnika dębowego”. Jedwabnik dębowy, karmiony liśćmi buku, daje nici o wiele mocniejsze i trwałe. W związku z tym przechodzi się na karmienie tego jedwabnika liśćmi bukowymi. Stacje agrobiologiczne przy współdziałaniu kółek miczurinowskich przeprowadzają obecnie prace w kierunku zmiany formy kokona.

Duże osiągnięcia mają młodzi miczurinowcy na polu otrzymywania nowych gatunków kukurydzy i pszenicy metodą krzyżowania oraz szczypienia nasion.

Niedojrzałe nasienie pszenicy lub kukurydzy przeszczepia się na kłos innego gatunku.

Przeszczepione ziarno, które wzrastało i dojrzewało na kłosie innego gatunku, nabiera cech obu gatunków i daje nową odmianę.

Jeśli jeden z gatunków skrzyżowanych rodzi duże ziarno przy małych kłosach, a drugi małe ziarno przy dużych kłosach, to mieszańiec (nowa odmiana) posiada i większy kłos, i większe ziarno, a więc cechy obydwóch, z których powstał.

Krzyżowanie przeprowadza się również na różnych gatunkach królików, świń i innych zwierząt. Program pracy kółka miczurinowskiego oparty jest na programie biologii danych klas i wchodzi w zakres planu dydaktyczno-wychowawczego szkoły, który zatwierdza dyrektor (kierownik szkoły).

Przy końcu roku szkolne kółka miczurinowców organizują przy swych szkołach „święto urodzaju”. Uczniowie otrzymują wówczas część pólnową dla siebie i dla gości, którzy biorą udział w uroczystości. Dochód z działki miczurinowskiej przeznacza się na mowę uchwały członków kółka na wyposażenie gabinetu biologii, a w miarę potrzeby na pomoc materialną uczniom. Uchwałę zatwierdza to dyrektor (kierownik) szkoły. Wielkość działki dla szkół 10-letnich wynosi 1 do 2 ha. Bywają jednak i takie szkoły 10-letnie, które mają działki o powierzchni 5 — 16 ha, zależy to od tego, czy szkoła posiada warunki do pełnego ich wykorzystania.

Miczurinowska działka przyszkolna prowadzi zazwyczaj wszystkie rodzaje kultur, lecz jednej z nich poświęca szczególną uwagę.

W ramach działalności kółek miczurinowskich prowadzone są również zajęcia z zakresu walki ze szkodnikami w rolnictwie, a jednym z zagadnień tego działu prac, nad którym pracują kółka, jest poznanie ptaków pożytecznych i opieka nad nimi. W jednym tylko obwodzie stanisławowskim uczniowie rozwiesili 70.000 sztucznych gniazd.

Literaturę piękną również wzbogaca się pozycjami, ukazującymi walkę człowieka o postęp techniczny w różnych dziedzinach jego pracy. W tworzeniu takiej literatury obok pisarzy biorą aktywny udział również naukowcy i nauczyciele. Przykładem dobrej książki w tym zakresie może być „Powieść o kamieniu” Fersmana lub „Uspienienie”, „Nasze lato”. Ogłoszony został konkurs na napisanie książki dla młodzieży szkolnej w zakresie literatury pięknej i popularno-naukowej z różnych dziedzin nauki i pracy naukowej.

Piotr Wiczorek

*) W następnym numerze omówimy powieść „Uspienienie”, „Nasze lato”, która ukazała się w przekładzie polskim w ostatnim numerze „Literatury Radzieckiej”. (Red.)

WACŁAW PALIK

„TEMATOW MAM PEŁNĄ GŁOWĘ“

Mieszka we wsi Włoszakowice (pow. Leszno). Ma lat 35, rodzinę już sporą: żonę, czworo dzieci (od 3 miesięcy do 6 lat). Ma tyle dzieci, ile jego ojciec, który był wiejskim cieślą. On jest gminnym drogomistrzem. A kierował go kiedyś ojciec do terminu u stolarza. Termin przerwał podczas okupacji „roboty przymusowe” w Niemczech. Czeladnikiem został po wojnie w Lesznie, ale porzucił stolarstwo. Znał go w okolicy jako drogomistrza, znał go więc dobrze, bo drogami jadą ludzie ze wszystkich wsi. I przysiągłbym, że chwałę pana drogomistrza za gładką nawierzchnię i zawrotną muzykę. Skrzypek bowiem z niego w świetlicowej grupie regionalnej, której kapelmistrzuje sam Skorupski (sława na dwie albo trzy gminy).

Na tym by wielu chłopów zakończyło charakterystykę drogomistrza, na tym zakończyłoby również wielu działaczy i pewnie wszystkie władze miejscowe.

A jednak trzeba czasami oddać sprawiedliwość wydziałom kultury, powiatowym, ba — nawet wojewódzkim. Taki puchacz referent z Leszna, a drugi z Poznania dojrzał, to czego nie widzą sąsiedzi drogomistrza, choć siedzą za miedzą. Warto wymienić nazwiska tych referentów, w Lesznie — Szymaniak, w Poznaniu — Cichowiczowa. Oni to mogliby rozszerzyć charakterystykę Leona Dudka, tak bowiem nazywa się znany w całej gminie drogomistrz.

Powiedzieli, że pewnie nie będzie w przyszłości majstrzem od naprawy dróg. Zbędzie... że może być... rzeźbiarzem. Bo rzeźbił. W stolarce jeszcze jako chłopiec, pokochał drzewo, zwieźle, spoiste, lipowe drzewo, które posłuszne bywa nie maszynie, nie heblowi i oślnikowi, ale dłutom i wyobraźni człowieka.

Odkryli go referenci, dokonali zdjęć rzeźb i wykłotali w Ministerstwie Kultury dwa kolejne jednorazowe stypendia (po 350 zł) na zakup surowca i uzupełnienie narzędzi. Stypendia przyszły, a fotografie ułożyły w nieprzeładowanych aktach. Wojewódzki Wydział Kultury zakupił nawet trzy rzeźby „Dojarkę”, „Dudziarza” i „Skrzypka” (w tamtejszych strojach ludowych), zamówił rzeźby na te same tematy dla Ministerstwa Kultury. Niedawno przywiózł je Dudek do Poznania, pewnie jeszcze nie dotarły do Warszawy, bo od roku nie ma już w powiecie i województwie dawnych opiekunów-referentów. Nowi zaś ani go dotąd nie odwiedzili, ani też nie nawiązali kontaktu.

Któż więc dalej poprowadzi opowieść o drogomistrzu, twórcy ludowym?

Sam rzeźbiarz z Włoszakowic. Nie ma w tym przypadku. Do listu bowiem, jaki nam Dudek nadesłał, parło wiele przyczyn z nieodwołalną koniecznością.

Drogomistrz był na I Krajowym

Zjeździe Twórców Ludowych. Pierwszy raz w stolicy, której poświęcił przed paru laty rzeźbę „Robotnika odgruzowującego Warszawę”. Tę rzeźbę przekazał w 1950 r. Cepelii w Lesznie. Chciał z nią nawiązać współpracę. Zażądano na próbę rzeźby. Wykonał tego „Robotnika”. Dotąd ani mu rzeźby nie zwrócono, ani nie zapłacono, ani więcej niczego nie zamówiono. Oto sprzeczności, jakie dojmująco stały się w Warszawie.

Był delegatem. Słuchał referatów i przemówień poświęconych wielkiej sprawie — twórczości ludowej. Czuli, jak mu wyrastają skrzydła, jak wyzwalają się w nim najskrytsze marzenia, upajał się ludźmi i mowami — światem, za którym tęsknił, a który nagle przyjął go jako twórcę i artystę.

Dudek nawet przemawiał, a potem wylamując palce przypominał sobie Cepelii w Lesznie — przemilczała jego rzeźbę i zrezygnowała ze współpracy. Przypominał sobie Cepelii w Poznaniu. Było to w ubiegłym roku, „Głos Wielkopolski” (pod wpływem dobrej opieki Cichowiczowej) napisał o nim artykuł. Przedstawił Cepelii w te pędy zamówił u Dudka rzeźbę, znów — na próbę. Po wykonaniu miał Dudek napisać, a Cepelia obiecała zaraz odebrać. Wykonał rzeźbę, napisał w sierpniu. Do dziś pozostał bez odpowiedzi.

Już tam, w Warszawie, czuł, że po zostaje bez odpowiedzi.

Jest bowiem, czy nie jest rzeźbiarzem?



„Skrzypek” — rzeźbił Leon Dudek

W tłumie delegatów brano go za twórcę ludowego i sam przeżywał momenty najpełniejszej wiary w swój talent i możliwości twórcze. Ale wracali uparcie i wracają do świadectwa, z których marzenia i

nadzieje zdzierają prerażliwie rzeczywistość. Cepelii w Lesznie i Poznaniu odrzucił go. Czyżby to znaczyło, że nie widzą w jego rzeźbie ani kształt wartości? Tego się można domyślać, tego trzeba się lękać. Ale pod takim werdyktem ciężko żyć. Boć przecież on nie dziecko i rozumie, że kiedy sam siebie nazywa twórcą ludowym, rzeźbiarzem w drzewie, to znaczy, że trochę nim jest, a bardziej, że nim dopiero stać się może. A jakże się wyrabiać i sprawdzać, jeśli instytucje regionalne, powołane do tego, nie dają zamówień? Nie stwarzają więc podstawowego warunku do pracy i rozwoju rzeźbiarza unicestwiają go i w tym, co osiągnął, i w tym czego mógłby dokonać.

Chłopi na drogach oglądają co dnia do późnego wieczoru pana drogomistrza i skrzypka z kapeli regionalnej. A drogomistrz duma nad dwoma projektami. Jeden to sprawa serdecznego obowiązku lokalnego. Na świetlicowych zebraniach dojrzał pomysł, aby wnieść we Włoszakowicach pomnik ku czci kompozytora Karola Kurpińskiego, który tutaj się urodził. Popierze chce wykonać Dudek i wykona, kiedy nadjedzie piaskowice.

Drugi projekt omawia na Konkursie Ministerstwa Kultury, „Ale przeraża mnie brak czasu”. Drogi wciągają w głąb gminy, daleko od domu. Wstaje jak gajowy równo z ptakami i wraz z nimi wraca.

Zdobycie czasu dla rzeźbiarza. Zdobycie ten pierwszy warunek do walki o przyszłość artysty.

„Moim marzeniem jest wykonywać tylko rzeźby bez innej pracy, byłbym miał stałego odbiorcę: Ubezpieczalnię Społeczną, a wówczas mogłbym naprawdę coś pożytecznego stworzyć. Czy jest to niezdrowe marzenie pragnąć pracować w zawodzie, do którego serce skacze? Różne są zapotrzebowania na rzeźbę, od rzemieślniczo do sztuki. Ale żeby raz wreszcie w niej dzień po dniu tkwić jak garncarz, którzy w ceramice stale pracują i zarobkują”.

Zaiste, nie pakujmy twórców ludowych do jednego worka. Są dziedziny folkloru, które nie mogą być uprawiane tylko ubocznie. Do takich należy ceramika, a pytanie czy nie rzeźba? Jeśli takiego rozróżnienia nie przeprowadzimy i nie wyciągamy z niego właściwych konsekwencji, wówczas stypendia i wezwania konkursowe miną się z celem. W wielu dziedzinach nie doczekamy się dzieł sztuki. Często w tych właśnie, w jakich dzieło może osiągnąć rangę przewyższającą twórczość samorodną. Do nich należy rzeźba.

Cepelii w Lesznie i Poznaniu odebrały nie tylko wiarę twórcy, odebrały człowiekowi prawo do zawodu, zamiast mu stworzyć warunki na stałe uprawianie, a w perspektywie na rozwój rzeźbiarza — artysty. Karygodna polityka. Bo iluż to mamy chętnych do rzeźbienia? Ilu majstrów, ilu twórców? Jest to dziedzina



„Dudziarz” — rzeźbił Leon Dudek

na walcąca o terminatorów i adeptów.

Kiedy nasze plany szwankują, kiedy rwie się ich sieć, przez wyrwy wdziera się grasant, stary konkurent z inicjatywą prywatną, stary mecenas, co to lubi jelenie, albo kobiety in natura i takie rzeźby zaraz gotów na biurko czy komódkę... Dudek wspomina o takich pokusach. Czyhają bowiem na Dudków, aby ich obrocić w chałupników tandetnych, oleodrukowych gustów mieszczańskich. „Nagabuje mnie pewien gość z Poznania na rzeźbę „Jelenia na ry. kowisku”, sam mi szczególnie podsuwa, bo on miał dawniej takie „sliczności” i obiecuje mi narać innych smakoszy”. Dudka otrząsa, ale czy zlekceważony i zapomniany przez Cepelii „mamże powoli zapomnieć o swoim zamiłowaniu, aby jedynie dla dzieci strugać koniki i piesiki?”.

Chłopi na drogach co dnia mijają drogomistrza, życzą mu pomyślnej pracy, chwalą grę na skrzypcach, a Dudek myśli, jakże w tej gminie znany, jest równocześnie ludzmiom nieznanym. Dla nich on — to droga i orkiestra. A przecież „mnie zajmują właśnie tu z życia na wsi jej obyczaje odchodzące, ale i obecna budowa wsi. Spółdzielnie Produkcyjne, traktory, których przedtem nie widziałem, także postępy w budownictwie przemysłu i techniki w mieście. Słowem, tematów mam pełną głowę. Nieraz w nocy albo nad ranem budzę się i obrazy stają mi jak żywe, chwytają gorączką, aby przekuć w kamień albo wydrzeć w drzewie i prawie siłą odrzymać się od tego nawiedzenia, gdyż wzywa obchód, który zabierze cały dzień i pragnień nie ma kiedy urzeczywistnić”.

Wacław Palik

TEOFIL KOWALCZYK

CHŁOPCY Z CIECHANOWIC

JESIEŃ 1952 r. młodzież gromady Ciechanowice w powiecie Kamiennym Górze zaniekopokojona została dwiema sprawami. Gdy wyszła na boisko sportowe, żeby pograć w piłkę, zjawił się przewodniczący miejscowej spółdzielni produkcyjnej i donośnie oświadczył:

— Złazić mi z pola! Jeszcze was tu nie widzieli! Dość zabawy! Plac przechodzi na własność spółdzielni. Chłopcy zdumieni się. Od dawna grali tu w piłkę nożną i w siatkówkę. Nikt do boiska nie zgłaszał pretensji, a tu masz... Zarząd nie tak dawno założonej spółdzielni produkcyjnej anektuje plac sportowy.

Jeszcze nie ochłonęli z wrażenia po spotkaniu się z przewodniczącym, gdy mijający ich na rowerze sołtys krzyknął:

— Oddawać książki! Zabierają do powiatu. — Widoćcie przewodniczącego uciechy! Zarządzenie władz, bo ocy mu się śmiały i już z pewnego oddalenia zadzwili:

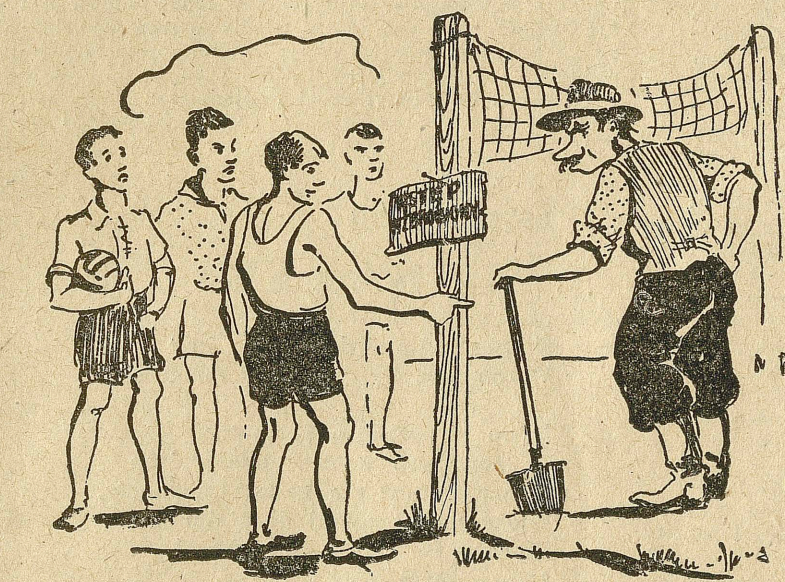
— No, teraz wszystkie przniaki wezmą się do uczciwej roboty. Główniści Stach, uczeń Technikum Górniczego w Wałbrzychu, zla-pał Wojsa za rękę.

— Słyszaleś? Czy oni z byka spadli?

Tak narodził się konflikt, który zmobilizował młodzież gromady Ciechanowice do walki o książkę i sport.

✱

Ciechanowice są wsią podgórska. Ziemi tu nie mało, gospodarstwa drobne. Wojna oszczędziła te okolice. Zjechali na się repatrianci ze Wschodu i chłopcy z Centralnej Polski, szukający lepszych warunków do życia. Ale wraz z nimi przyjechali też ludzie chciwi doraźnych korzyści i tacy, których celem było sianie zamętu i kreacja antyludowa robota. W okresie akcji wyborczej do pierwszego Sejmu zamordowany został działacz PPS lewicy Jasiński. Po trzech latach sprawcy mordu zostali wykryci i skazani przez sąd ludowy na karę śmierci. Elementy niebezpieczne i przypadkowe odpyłyły, niemniej jednak pozostawili po sobie osad który dzisiaj jeszcze, acz w drobnych sprawach, mówi o walce nowego ze starym. — Wy-padki te rzuciły czarną plamę na Ciechanowice. Powstała w 1951 roku spółdzielnia produkcyjna, ja-



śniejście życie dźwiga uparcie w górę. Ale łatwiej jest zaszczepić nowe formy gospodarstwa na krwawym poboju niż nauczyć ludzi myśleć kategoriami przyszłości. W tej dziedzinie praca jest o wiele trudniejsza, wymaga dłuższego czasu i żmudnej, codziennej troski. Przewodniczący spółdzielni produkcyjnej, człowiek niby na miejscu, uczciwy, dbający o dobro wspólne gospodarstwa, nie myśli, co będzie za trzy lata. Wojs, syn wiejskiego kowala, wie, że za 3 lata do spółdzielni zamiast 30 będzie należało 200 gospodarstw, bo tyle liczy ich wieś. Boisko sportowe uczy ludzi wspólnej pracy i wymaga do brego zespołowego wysiłku. Trzeba więc uczyć sportu i rozszerzać jego wpływ. Sport odpowiednio postawiony pod względem organizacyjnym i ideowym jest doskonałym środkiem wychowania nowego człowieka. Pogłębia dyscyplinę zespołową, rodzi poczucie honoru i ambicji, wytrwałość i cierpliwość.

✱

Decyzja zrodziła się tego samego dnia w kole gromadzkim ZMP. Wojs wspólnie z Głowińskim i Pawlakiem Władysławem postanowili działać. Sprawę gromadzkiego punktu bibliotecznego załatwili stunkowo łatwo. Władze powiatowe likwidowały go, ponieważ nie mogli znaleźć odpowiedniego kierowni-

ka punktu. Dotychczas punkt mieścił się u sołtysa, który nie miał czasu ani ochoty zajmować się pracą bibliotekarską, gdyż nie przynosiło mu to żadnego pieniężnego zysku. Wojs mimo że już był obarczony pracą świetlicową — przyjął obowiązki kierownika biblioteczki i razno zabrał się do roboty. Z pomocą biblioteki powiatowej powiększył księgozbiór do 600 tomów i w krótkim czasie pozyskał 86 czytelników, przede wszystkim wśród młodzieży. Zaczął również propagować czytelnictwo wśród starszych sięgając w pierwszym rzędzie do członków spółdzielni produkcyjnej.

— Mam ładny sukces — mówi Wojs. — Surmiak Agata, członek spółdzielni produkcyjnej, polubiła książki. Szczególnie podobał się jej „Zorany ugor” Szołchowa. Często rozmawia ze mną o tej powieści. Nie czytała dotychczas książek, obawiała się, że ludzie ją wyśmieją. Teraz czyta z zapalem... i z przeciętnej pracownicy wybiła się na przodownika pracy w spółdzielni.

✱

Rozprawa o boisko sportowe była o wiele trudniejsza. Gdy we trzech, tj. Wojs, Głowiński i Pawlak, udali się do zarządu spółdzielni, przewodniczący przyjął ich burkliwie i z góry wykluczył wszelkie porozumienie.

— Co? Boiska wam się zachcie-wa, kiedy chleb potrzebny? Nic z tego. Zabieracie się!

— Przecież boiska nikt nie wniósł do spółdzielni jako wkładu, więc jakim prawem...

— Takim! — uderzył ręką w stół. — Jest nam potrzebne i kwita. Mało mamy ziemi. Zboża trzeba, pa-szy dla krów!

— Starajcie się o nowych członków. Jest sporo jeszcze indywidualnych poza spółdzielnią.

— Nie ucz ojca... nie ucz. Wszyskie odłogi muszą być zasorane. Wszyskie! Rozumiecie? A ten leży pewnie od 20 lat.

— A coż wam tu urośnie?

— Co? — Buraki posadzimy.

— Nam idzie o przyszłość. O zdrowych, dobrych ludzi.

— Przyszłość jest tu — przewodniczący uderzył się po kieszeni... — I nie mam czasu na gadanie!

Tego samego dnia przy wejściu na plac sportowy ukazała się tablica z napisem: „Wstęp wzbroniony. Zarząd Spółdzielni Produkcyjnej w Ciechanowicach”. Indywidualni podkpiwali z Wojsa i towarzyszy. Odbyło się ponowne zebranie Koła ZMP.

W kilka dni po rozmowie z przewodniczącym w najbardziej uczczonych punktach wsi ukazała się gazetka ścienna „Byskawica”. Człowiek jej pozycję zajął rysunek, przedstawiający przewodniczącego spółdzielni z nochem jak trąba sioniowa, utkwionym w boisko sportowe. Przewodniczący trzymał się za kieszeń — próżną. Podpis pod rysunkiem brzmiał: „Przyszłość jest tu”. Śmiech przetaczał się od chałupy do chałupy. Przedmiotem kpiny stał się teraz przewodniczący spółdzielni. Nie wychodził z domu, unikał ludzi. Nazajutrz znikła tablica ustawiona przed boiskiem sportowym. Wojs i jego towarzysze triumfowali. Przeciwnik skapitulował. Młodzież ze śmiechem udała się na plac sportowy. Powstało koło sportowców. Zwyciężyła młoda, zdrowa myśl.

— No, a teraz? — pytam Wojsa. — Sport rozwija się u nas coraz lepiej. Przydałyby się nawet jakiś instruktor. Ludzie coraz więcej czytają — to i robota idzie różnie. W czytelnictwie przoduje nasze Koło ZMP. Dwóch otrzymało nagrody na konkursie czytelników. Są to Głowiński Stanisław i Pawlak Władysław. Ten ostatni marzy o szkole oficerskiej.

Teofil Kowalczyk

JULIAN STAWIŃSKI

BUDOWA
RZECZYWISTOŚCI

NIE spotkałem w Stanach Zjednoczonych człowieka, który nie pragnąłby pokoju — mówi prezydent Eisenhower.

Stusnie. Bardzo stusnie. Trudno w Ameryce spotkać człowieka spragnionego wojny. Tygodniami można przemierzać obszary republiki, dotrzeć do farm odludnych, zagłębić się w płątaninę uliczek miasteczka, wspiąć się aż na poddasza nędzarzy z Bowery i nie znaleźć tam producenta bomby atomowej, zwolennika „rozmów z pozycji siły”, czy „wywołania” Polski z pomocą Guderiana.

Naród amerykański szczerze chce pokoju. Tylko, jak ów szczęśliwiec z bajki, który na grzbiecie nie miał koszu, naród Ameryki nie dobił się jeszcze demokratycznej możliwości wprowadzania swej woli w czyn. Dlatego też myśli prezydencka, chociaż w zasadzie tak głęboko stusna, jest jednak nieco zbyt śmiata. I gdyby prezydent dając jej wyraz spojrzeć wokół siebie — by nie rzec w lustro — może by widok najbliższych współpracowników przyniósł mu wspomnienie owej innej bajki — o królu, który był nagi.

Nagości królewskiej nie skryły pochlebstwa dworaków. Nagiej prawdy o celach polityki USA nie osłonił frazesy i najbardziej pokójowe zaklęcia. Na nic zda się mówić o pokoju, gdy sekretarz stanu zwraca się do drugiej części świata montując bazy agresji, minister „obrony” przysięga hitlerowcom odwet, a sam prezydent stawia wciąż nowe trudności w zawarciu koreańskiego rozejmu.

Rząd i parlament brytyjski w dwudniowej debacie żądają od Stanów Zjednoczonych poczytności choćby wstępnych kroków w kierunku pokoju. Z przeżyciem wstępują się w odgłosy zza oceanu. „Są tam ludzie — mówi były premier Attlee — którzy chcą generalnej wojny z Chinami, wojny przeciw komunizmowi w ogóle”. Ci ludzie sprawują władzę, tych ludzi należy okiełznać. W odpowiedzi rolegą się ryk Mac Carthya: Torpedujmy stłoki angielskie! A prezydent Eisenhower wysuwa warunek: Niech ZSRR stłumi rewolucję ludów azjatyckich.

Czy nieznaną historię istotnie jest aż tak wielka? Osią dziejów ludzkości był zawsze bunt uciskanych i żaden Archimedes nie zmienił praw rozwoju. Rewolucje ustają dopiero wtedy, gdy zniknie ucisk. „Nie ze strony Rosji i jej rewolucyjnego rządu grozi wam podobny — głoszą słowa Lenina i Stalina, zwrócone 3 grudnia 1917 do narodów Wschodu — lecz ze strony drapieżców imperializmu, ze strony tych, którzy prowadzą obecną wojnę o rozbiór waszych krajów, ze strony tych, którzy waszą ojczyznę zmienili w swoją „kolonię”, grabioną i obdzieraną”.

Tu tkwi tajemnica frazesów i zaklęć, a także warunków i żądań. Polityka zagraniczna każdego kraju stanowi odbicie jego sytuacji wewnętrznej. Rządy monopolu rodzą imperializm, imperializm zaś nieodłącznie towarzyszy wojny. „Często zastanawiamy się — mówi Clement Attlee — kto jest silniejszy: prezydent Eisenhower, czy senator Mac Carthy?” Pytanie jest retoryczne, jeśli nie jest nałowne. Prezydent i senator nie walczą ze sobą. Idą w tym samym kierunku co rząd mianowany przez prezydenta, a desygnowany przez monopol Wall Street: zbrojeń, podobojów i ucisku kolonii.

Wielka Brytania sama nie jest bez grzechu. Prowadzi trzy wielkie kampanie wojenne — na Malajach, w Egipcie i w Kenii — nie licząc działań pomniejszych. Churchill i Attlee stoją więc na straży interesów wyraźnie określonych. Ale wyzyskany imperializm angielski dąży na widok perspektywy wojny generalnej, wie bowiem, że byłby to kres ostateczny jego istnienia. Zudenia imperializm nie wyrzeka się do browningu tego, co jest jego żywiołem. Powściągliwym czyni go dopiero konieczność.

Dlatego premier Nehru w przeddzień wizyty Dullesa w stolicy Indii ostrzeżenie Amerykę i użyna do pokójowych rozmów. Wojna nieszczyściem byłaby dla całego świata, dla świata kapitalizmu — zagłada.

„Kapitalizm — pisał niedługo Jaurès, wielki przywódca proletariatu Francji — niesie w swym łonie wojnę jak chmura niesie piorun”. Niesie wojnę i niesie terror tym brutalniejszy, iż większa jego siła. Minął jednak czas, kiedy blask błyskawicy porażał wielkie masy ludowe. Dziś biele piorunów zwiastuje nadejście orkanu, który zmiecie z powierzchni ziemi śmieci historii. Gdyż epoka szybkiego rozwoju kapitalistycznych narodziła się także rewolucja.

Rzeczywistość to najświeższy argument. Dotarła już do czasów brytyjskiej Izby Gmin i żądna, najbardziej nawet pancerna kurtyna nie osłoni przed nią władców USA. Lecz samorodne procesy zawsze są powolne. Rzeczywistość więc trzeba budować. Bardziej niż kiedykolwiek prawdziwym jest fakt, że każdy zasiany przez nas łan zboża, każdy nowy dom i nowa maszyna przyspiesza i zabezpiecza pokój.

Julian Stawiński

ALBERTO JACOVIELLO

„SZOSA ŚMIERCI”

Byłem tylko jeden raz w Tel-el-Kebir. Miejsce to, zamieszkałe przez kilkuset tysięcy ludzi, położone było obok „szosy śmierci” tj. drogi, prowadzącej z Ismailii do Kairu.

Wracałem właśnie z krótkiej podróży do „Strefy Kanalu”. W owym czasie Anglików nie stosowali jeszcze dyskryminacji wobec zagranicznych dziennikarzy, przebywających w Kairze, toteż drogowe posterunki wojskowe otwierały przede mną szlabany. Mimo to nie uniknąłem licznych rewizji osobistych.

W połowie drogi nawaliła nam guma. W samochodzie było nas trzech i żaden nie miał doświadczenia w reperowaniu dętek. Ale nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko zabrać się do klejenia. Wyszliśmy z maszyną i rozejrzeliśmy się wokół. Z jednej strony pustynia, z drugiej — widniejące w oddali obozy wojskowe. Wzdłuż drogi — kanał słodkowodny, zwany „małą Riwierą Ismailii”. Wokół żadnego śladu życia, tylko gdzieś niedaleko na powierzchni kanału kotowały się wysokie białe żagle dalekich rybaków. Szukać pomocy u rybaków byłoby nonsensem.

Zabraliśmy się do roboty usiłując wprowadzić wesół nastroj. W rzeczywistości nie potrzebowaliśmy się niczego obawiać ze strony patriotów, towarzyszył nam bowiem Egipcjanin, a poza tym wystarczająco okazały zebrał przez nas dla naszych dzienników fotografie, będące dokumentem terrorystycznych bestialstw angielskich w Port Saidzie i Ismailii, aby być uznanymi za przyjaciół. Mieliśmy jednak powody do obawiania się Anglików.

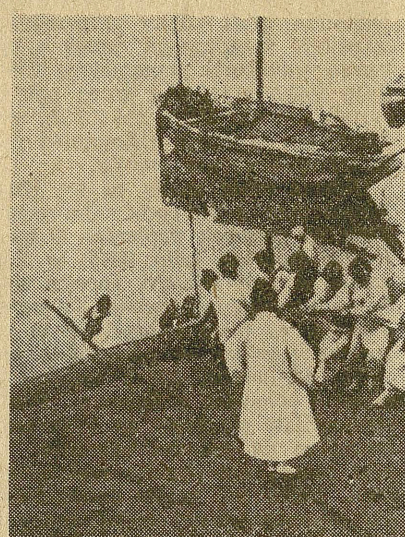
Na szosie tej stracili oni wielu ludzi i dlatego nazwali ją „szosą śmierci”. Nie mieli odwagi jeździć nią po zachodzie słońca, ale jeśli już musieli taką podróż przedsięwziąć, mieli rozkaz strzelania do wszystkich bez ostrzeżenia.

Gwiazdy zabłyśły już na niebie, a nad pustynią zawisł mrok, gdy skończyliśmy reperację koła. W pobliskim kanale rechętały żaby — kumkanie ich rozlegało się donośnie w dwunajowej ciszy.

Następnego dnia w Kairze miała odbyć się wielka manifestacja patriotyczna z przebiegiem której obowiązyaliśmy byliśmy przesłać sprawozdania do swych dzienników.

Przejechaliśmy tak ze dwadzieścia kilometrów, gdy nagle prowadzący nas mój przyjaciel z całą siłą nacisnął hamulec. Maszyna zarzuciła w prawo i w lewo, przejechała je-

szcze kilkanaście metrów i z piśkiem hamulców zatrzymała się przed dwoma grubymi pniami drzew, położonymi w poprzek szosy. Kilkanaście ciemnych postaci podierało się z piasku pustyni i otoczyło samochód. Byli to Arabowie, uzbrojeni w karabiny, ubrani w długie różnokolorowe chałaty, w wetnianych zawojach na głowach. Zamierzali bez ruchu na siedzeniach samochodu spoglądając na skierowane w naszą stronę wyloty luf karabinowych. Towarzysząc nam, Egipcjanin, przemówił do nich po



arabsku. Ponure twarze rozjaśnił uśmiech i broń opadła w dół. Wyjaśnił nam, że jesteśmy dziennikarzami — komunistami, a więc przyjaciółmi Egiptu.

Powtórzyła się podobna scena jak w Port Saidzie, gdzie tak serdecznie przyjęli nas strajkujący robotnicy. Musieliśmy wyjść z samochodu, a Arabowie demonstrowali swoje przyjaźne dla nas uczucia mocnym uściskiem dłoni. Mówili przy tym w niezrozumiałym języku, który usiłował tłumaczyć nam nasz towarzyszący podróży. Razem z nowymi znajomymi poszliśmy w kierunku Tel-el-Kebir ukradając tam w otoczeniu uzbrojonych Arabów. Tel-el-Kebir — to nędzna wioska ze zbudowanymi z gliny domami. Mieszkają w nich ludzie, których nie potrafiła pokonać potężna uzbrojona armia.

Dosłaliśmy do jednej ze wsi kawiarni, mieszczącej się w wólprowalnej chatupie. Zadymione wnętrza izby pełne było ludzi ubranych w łachmany. Usiedliśmy w otoczeniu kilkudziesięciu mężczyzn za stołem, na którym poja-

wiły się natychmiast liczne filiżanki herbaty. Zaczęto nam zadawać szereg pytań na temat Włoch, Związku Radzieckiego, Chin. Co za uczucie! Wydawało mi się, że jesteśmy wśród swoich — właśnie w tej malutkiej kawiarence w Tel-el-Kebir, z partyzantami. W oczach ich błyszczała radość, wywołana naszą obecnością.

Przepędziliśmy Anglików z Egiptu! — mówili.

Nagle zapadło milczenie. Do izby wszedł młodzieniec może dwudziestoletni, ubrany uprzednio tak

jak inni, lecz różniący się od nich bardziej subtelnym wyrazem twarzy. Był szczupły, wysoki, o ruchliwych oczach i białych, delikatnych rękach. Przedstawił się składając ułkon i przyskakując rękę do piersi, po czym uściśnął nam dłonie. Pragnął zobaczyć nasze dokumenty, wystawione przez egipskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Z szerokim uśmiechem przeprosił nas za te „formalności” i z powagą wygłosił tradycyjne powitanie:

— Przyjaźń nasza będzie wam towarzyszyła aż do chwili waszego wyjazdu.

Następnie oświadczył, że jest do naszej dyspozycji i zapytał, w czym może nam być pomocny. Zaledwie zaczęliśmy zadawać mu pytania, gwałtowny hałas wywołał nas przed chatę. Usłyszeliśmy przenikliwy krzyk młodzieńca, który prawdopodobnie był dowódcą partyzantów. Wzywał uciekinierów do powrotu, ale oni plynęli z rozpaczliwym śmiechem starając się wyjść jak najszybciej z zasięgu swoich przesładowców. Wtedy czterech mężczyzn podnieśli karabiny. Gruchnęła salwa. Piskliwy jęk

był słyszalny w powietrzu. W dwa miesiące po mojej brytynie w Tel-el-Kebir, tj. 15 stycznia 1952 roku, 10 tysięcy Anglików zaatakowało wieś po uprzednim zombardowaniu jej przez artylerię polową. Słedem godzin patriotów i egipskich policjanci bronili rozpaczliwie każdej piędzi ziemi. Strzelali do ostatniego naboju. Potem część obrońców wycofała się w głąb pustyni — reszta kryła ich odwrót. Wśród tej reszty był także młody student, którego poznałem w czasie swego pobytu we wsi w listopadzie ubiegłego roku.

W dwa dni po bitwie o Tel-el-Kebir poszarpane przez specjalnie do tego celu tresowane psy ciało studenta znaleziono ukrytą w jaskini.

W tym czasie, „szosie śmierci”, na szosie wisiła kartka z napisem: „terrorysty”. Spadochroniarze kata Erskina okazali się godnymi nastawcami SS-kata Kesselringa.

W pień późniejszej na tej samej szosie dziesięciu Anglików zostało zabitych z zasadki przez patriotów.

Tłum. z włoskiego
Władysław Halicki

ALBERT ROLLAND

Beczka nafty czy beczka prochu?..



W niedawnych wyborach wenezuelskich zwyciężyła umiarkowana liberalna partia burżuazji oraz inteligencji — Unia Republikańsko-Demokratyczna. Ale władzę utrzymała w swym ręku rządząca krajem junta wojskowa wyznaczająca na prezydenta swego przewodniczącego pik. Perez Jimenez. Zmach stanu zakończył próbę „demokratycznych wyborów”, jakie zaryzykowała nieopatrznie wszechwładna od lat 4 dyktatura wojskowa. Warto obejrzeć spisy tych wydarzeń. Są one bowiem typowe dla całej niemal Ameryki Łacińskiej.

Wenezuela jest małym krajem. Ale na swoje (w warunkach kapitalizmu) nieszczęście kraj ten jest nadzwyczaj zasobny w bogactwa mineralne. Wenezuela zajmuje w świecie kapitalistycznym pierwsze po USA miejsce w wydobyciu oraz eksporcie tak ważnego surowca strategicznego jak, nafta, której produkcja wyniosła w 1952 r. 95 milionów ton. Dalej, Wenezuela jest od niedawna poważnym źródłem rudy żelaznej. W 1952 r. produkcja wyniosła 2 miliony ton. Ale już w 1955 r. wzrosła na 13 milionów i po raz pierwszy w Ameryce Łacińskiej stała się przedmiotem wywozu. A ruda wenezuelska należy do najlepszych na świecie. Jej zawartość czystego żelaza waha się około 65 proc.

Wenezuela posiada też szereg innych bogactw mineralnych, których eksploatacja nie rozpoczęła się jeszcze na większą skalę. Już obecnie wiadomo, że znajdują się tam bogate złoża miedzi, węgla, bauxytów, siarki, azbestu, złota, srebra, diamentów... Ostatnio odkryto poważne złoża uranu, podstawowego surowca dla produkcji bomb atomowych.

Gdyby te wszystkie bogactwa były własnością narodu, każdy mieszkaniec tego kraju miałby zapewnioną przyszłość i mógł prowadzić cyfrowe życie. Tymczasem ludność żyje w skrajnej nędzy. Chociaż ziemia jest bardzo urodzajna i niedługo były zna-

czne nadwyżki produktów rolnych i hodowlanych, obecnie importuje się 94% zapotrzebowania warzyw, 80% zapotrzebowania pszenicy, kukurydzy i ryż oraz znaczne ilości mięsa. Rzecz znaną, że Wenezuela nie importuje bezpośrednio zboża, lecz mąkę, kraj bowiem nie posiada właściwie żadnych większych młynów.

Na 69 milionów hektarów ziemi zdadnej do uprawy uprawia się tylko 730 000 hektarów. Z 562 112 rodzin zatrudnionych w rolnictwie tylko około 18 proc. posiada ziemię na własność. Reszta to dzierżawcy, robotnicy rolni lub koczownicy przemieszczający się z miejsca na miejsce.

Chłopi dzierżawcy oddają za użytkowanie ziemi połowę zbiorów obornikowi. Procent ten znacznie wzrasta, gdy obornik pochodzi z inwentarza lub narzędzia rolnicze. Większa część chłopów jest zresztą zadłużona po uszy u oborników, co sprząda ich faktycznie do stanu niewolników. Jednym z największych oborników kraju jest wyższa hierarchia kościelna.

Szezególnie ciężkie jest położenie chłopów, których nędza zmusiła do koczowniczego trybu życia. Taki tryb życia prowadzi w Wenezueli 100 tys. rodzin. Koczownicy uprawiają małe poliska na leżących odległościach od wielkich miast. W ten sposób gromadzą się w jednym miejscu. Często przed samymi zbiorami policja lub strażnicy koncesji wypędzają ich i niszczą zbiory. Przemysł słabiej rozwinięty nie wytrzymuje obcej konkurencji. Wenezuela importuje prawie wszystkie potrzebne jej wyroby, od gwoździ i lyżki do bawełnianej ubrania chłopa.

Równocześnie zaś robotnik wenezuelski zarabiał 4 — 5 bolivarów dziennie, to jest tyle, ile wynosi cena 12 bananów. Ale ci, którzy otrzymują tak nędzne zarobki nie są jeszcze najniebezpieczniejsi. W kraju znajdują się setki tysięcy bezrobotnych stojących na skraju śmierci głodowej.

Nie dziwnie, że Wenezuela ma śmiertelność jedną z największych na świecie, a 62 proc. ludności stanowią analfabeci. O zaoferowaniu, w jakim trzymają się ludność, świadczy np. fakt, że w 1949 roku dziennikarz „Nowo Wremia” Kamniew natknął się o 20 kilometrów od stolicy na koczującego chłopa, który nigdy nie słyszał o II wojnie światowej.

A teraz przyjrzyjmy się rzeczywistości właścicielom kraju. 80 proc. zasobów nafty znajduje się w rękach dwóch monopolu amerykańskich — Creole Petroleum Corpora-

tion (filia Standard Oil Rockefellera) i Mene Grande Oil Company (filia Gulf Oil bankiera Mellon). Poza stałe 20 proc. to własność angielskiego monopolu Royal — Dutch Shell.

Wydobycie ropy podzieliły się dwa najpotężniejsze monopole hutnicze USA — Bethlehem Steel i United States Steel (ich filie w Wenezueli to Iron Mines Company i Orinoco Mining Company).

Dzięki okrutnemu wyzyskowi wenezuelskiej siły robotniczej i dzięki korzystnym warunkom naturalnym (wydajność jednego szybu naftowego w Wenezueli wynosi 30 ton, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych zaledwie 1,5 tony) monopole amerykańskie osiągają tu od 3 do 6 razy większe zyski niż w USA. Inwestycje w Wenezueli amortyzują się po 4—7 latach, podczas gdy ten sam okres w Stanach wynosi średnio 25 lat.

Oblicza się, że w 1952 r. czyste zyski monopolu naftowego w Wenezueli wyniosły około 500 milionów dolarów. Ponadto rząd wenezuelski otrzymał w postaci tantiem około 130 milionów, a ludność — głodowe place.

Aby całkowicie uzależnić Wenezuelę od siebie i uczynić z niej tylko

dotatek surowcowy do swej gospodarki monopole USA uniemożliwiły rozwój miejscowego przemysłu. W ten sposób grabią kraj podwójnie, raz wywołując po cenach niższych od cen rynkowych surowce, a następnie sprzedając po wygórowanej cenie amerykańskie produkty przemysłowe, często bardzo zleżałe tandety, której nie można już sprzedać w samych Stanach.

Dla zapewnienia sobie eksportu zysków monopole amerykańskie świadomie niszczyły rolnictwo wenezuelskie, które jeszcze w 1910 roku było w stanie pokryć całkowicie potrzeby wewnętrzne i przeznaczyć znaczne nadwyżki na eksport. Toteż nie dziwnie, że mając pełną kontrolę nad życiem gospodarczym kraju monopole USA kontrolują też jego życie polityczne.

Dlatego za każdą zmianą rządu w Wenezueli należy szukać ręki Wall-Street. Gdy w listopadzie 1948 r. pod presją mas rząd Akcji Demokratycznej zażądał od monopolu naftowego większych wpał do skarbu wenezuelskiego, wybuchła opatrniczośćowa rewolta i doszła do władzy obecna junta wojskowa. Ta zaś „wykazała pełne zrozumienie dobroczynnego wpływu obcych inwestycji dla gospodarki kraju”. Dla nikogo zaś nie było tajemnicą, że prawdziwym inicjatorem i organizatorem przewrotu był ame-

riczym skowyt zranionego zwierzęcia dobiegł mnie od strony kanału i po chwili woda zamknęła się z ciemnym plusem nad uciekinierami. Na spokojnej znowu powierzchni kanału załśnił refleks księżycy.

Jak się okazało, byli to dwaj zdrajcy. Właściciele wielkich towarowych barek wynajęli się Anglikom za pieniądze do przewozu żywności. Złapani na gorącym uczynku przez patriotów usiłowali uciec na drugi brzeg kanału, gdzie zamierzali schronić się pod opieką Anglików dozorujących w niedalekiej odległości składy amunicji. Ale sprawiedliwość partyzanckiej stała się zadość.

Resztę nocy spędziliśmy na rozmowach z patriotami, obawialiśmy się bowiem zbliżyć w ciemnościach do agielskiego posterunku, który znajdował się na drodze do Kairu.

W skład Komitetu Obrony uchodził reprezentant wszystkich kierunków politycznych. Dowódcą podawał się za wafdyście i okazywał wielki podziw dla Związku Radzieckiego uważając go — podobnie jak inni mieszkańcy — za najwzrostniejszego przyjaciela ludu egipskiego. Partyzanci byli dobrze uzbrojeni i napadali na przejeżdżających szosą najeźdźców. Trzy dni temu udało im się rzucić granaty zapalające na obóz angielski. Codziennie gazety podawały wiadomości o czynach patriotów z Tel-el-Kebir.

W dwa miesiące po mojej brytynie w Tel-el-Kebir, tj. 15 stycznia 1952 roku, 10 tysięcy Anglików zaatakowało wieś po uprzednim zombardowaniu jej przez artylerię polową. Słedem godzin patriotów i egipskich policjanci bronili rozpaczliwie każdej piędzi ziemi. Strzelali do ostatniego naboju. Potem część obrońców wycofała się w głąb pustyni — reszta kryła ich odwrót. Wśród tej reszty był także młody student, którego poznałem w czasie swego pobytu we wsi w listopadzie ubiegłego roku.

W dwa dni po bitwie o Tel-el-Kebir poszarpane przez specjalnie do tego celu tresowane psy ciało studenta znaleziono ukrytą w jaskini.

W tym czasie, „szosie śmierci”, na szosie wisiła kartka z napisem: „terrorysty”. Spadochroniarze kata Erskina okazali się godnymi nastawcami SS-kata Kesselringa.

W pień późniejszej na tej samej szosie dziesięciu Anglików zostało zabitych z zasadki przez patriotów.

Tłum. z włoskiego
Władysław Halicki

rykański attache wojskowy ppłk. Adams.

Podobnie było i teraz. URD szła do walki wyborczej z hasłem nacjonalizacji przemysłu naftowego. Gdy tylko ogłoszono pierwsze wyniki świadczące o zwycięstwie tej partii oficjalne amerykańskie agencje prasowe zaczęły pisać, że nie można dopuścić do zagrożenia amerykańskich interesów naftowych, a co za tym idzie i strategicznych. Latwo więc pojąć, jak krył się za obecnym zamachem stanu podpułkownik Perez Jimenez.

Tak Stany Zjednoczone respektują „suwerenne prawa narodów do ich bogactw naturalnych”. Takie są w praktyce kroki, jakie podejmują dla „nieprzeszkadzania w sprawowaniu suwerenności państw nad ich bogactwami naturalnymi”.

Na nieszczęście dla imperialistów Stanów Zjednoczonych w Wenezueli podobnie zresztą jak w całej Ameryce Łacińskiej narastają siły, których się nie da już stłumić, ani przy pomocy terroru, ani przy pomocy oszustwa.

Świadczy o tym między innymi ostateczne wybory. Świadczy bohaterki dwutygodniowy strajk robotników naftowych, jaki mimo terroru kliki rządzącej odbył się w maju 1950 r. I strajk studentów, który rozpoczął się w czerwcu 1952 r., a trwa do chwili obecnej. I ogarniająca coraz szersze masy walka o pokój, która w Wenezueli toczy się pod hasłem: „Ani kropli nafty dla agresywnej wojny imperialistów”. Rządząca klika wojskowa jest coraz bardziej izolowana.

Rozumiejąc tę sytuację imperialiści amerykańscy. Niedawno przedstawiciel monopolu naftowego i bliski przyjaciel Eisenhowera Nelson Rockefeller mówił o sytuacji w całej Ameryce Łacińskiej, a m. in. o Wenezueli: „Stany Zjednoczone wydają coraz więcej pieniędzy (chodzi tu o inwestycje — A. R.) a mają coraz mniej przyjaciół”.

Znana gazeta amerykańska „Christian Science Monitor” pisała, że „rządząca junta w Wenezueli siedzi na beczce prochu”. A organ monopolu „US News” alarmował: „Jeśli naród junty obali, sytuacja monopolu naftowego może stać się bardzo niebezpieczna”.

Nie ulega wątpliwości, że cokolwiek robbili imperialiści amerykańscy dla zaskisania pokryw wenezuelską beczką prochu musi w końcu wybuchnąć. A wraz z nią wylecą w powietrze nie tylko miejscowa dyktatura wojskowa, ale także ich amerykańscy imperialistyczni mocodawcy.

Albert Rolland

Kronika radziecka

NOWE KSIĄŻKI

Radzę wam wybrać się na szwedzkie nie się! po Baku, to koniecznie. Tyfili nie jest tak ciekawy, chociaż na pozór ma więcej uroku niż Baku. Jeżeli nie widzicie, jeszcze lasów naftowych, wież wiertniczych, to „nie widzieliście niczego”. Jestem pewien, że Baku da wam przebogaty materiał.

Ta zanosiła się jednak bardzo silna wskazówka, wyjęta jest z listu pisanego w roku 1924 przez Stalina do Demiana Biednego. Nie bez przyczyny Stalin zwracał pisarzowi uwagę na przemysł naftowy w Baku. Był to bowiem teren objęty wtedy szczególnie ostrą walką klasową.

O tej właśnie walce opowiada tworząc pisarza ormiańskiego A. Szirwanzade. „Wybór dzieł” tego realisty z początku XIX i XX wieku charakteryzuje barwnie środowisko, w którym działał Stalin, kreslił trafnie postaci magnatów przemysłu i proletariatu. Wydana książka stanowi ciekawy wkład w dzieło poznania sił społecznych i politycznych przed Rewolucją Październikową na bardzo ważnym odcinku.

„Miczurowski kraj”, taki tytuł nosi cykl utworów politycznych Sergiusza Wiercowa. Poemat „Dobroć” daje wierszowaną bogactwa i waleczność Wiercowa „Ogrodek”, „Komsomolska brygada”, „Kontynuatorzy” i in. mówią o dziedzictwie miczurowskim. Pokazują postępy nauki miczurowskiej, która objęła dziś cały Związek a nawet wysłała zagranicę, przedstawia konkretnie postaci kolchozników, zasłużonych w dziele kontynuacji odkryć wielkiego naukowca przyrodnika.

Opowiadania „O czernegołębieniu pt. „Nowe horyzonty” pokazują ziemie dotychczas i jej chłubię — sławnych górników. Fabuła obraca się wokół kopania Pierwomajskiego i ludzi, zamieszkałych w górniczym mieście. Autor charakteryzuje swój kraj, opowiada o życiu i w życiu osobistym i politycznym jako współgospodarczy kraju. Książkę zamyka powieść o górniczej młodzieży, ukazująca dojrzewanie młodzieży górniczej w konkretnych warunkach, w środowisku szerszego kolektywu. Zbiór opowiadań i powieści ciekawą i bogatą goniącą literaturę radziecką z powieścią B. Gorbato-wa „Donbas” na czele.

W 1950 r. marynarz z floty wojskowej Dalekiego Wschodu, nadesławszy do jednego z wydawnictw requestę o wydanie pierwszej powieści pt. „Sześćdziesiąt podróży”. Powieść ujawnia zadatki talentu. Autor został skierowany do Instytutu Literackiego im. M. Gorkiego w Moskwie, zaczął się kształcić i o po-dwu latach przepracowaną powieść ukaże się na łamach księgarskich. Marynarz został uznany literatem. Nazwisko: W. Czulkow. Książka jego pt. „Sześćdziesiąt podróży” ukazywała się w życiu radzieckiej floty wojennej na Pacyfiku. Bogatej radzieckiej literaturze marynarskiej przybyła jeszcze jedna powieść.

Krytyka podkreśla trudne i ambitne zadanie autora. Gdy chodzi o powieść, zadanie to jest trudne, pisarz wybiera epizody najbardziej efektowne z okresu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, ukazując patriotyzm i heroizm żołnierzy. Czulkow obrabiał kłopotliwy i trudny temat, opowiada o pracy wychowawczej wśród młodych marynarzy, o pierwowzór ich krokach na statkach, ukazuje codzienne życie radzieckich żołnierzy, ale jest to codziennosc i codziennej treści: praca wychowawcza wśród żołnierzy przygotowuje przyszłych bohaterów.

W. Diaglew w powieści pt. „Gwardziści” opisał pracę lekarską w warunkach na froncie w okresie zmagania z hitlerowskim Kijowem. Autor opowiada o samopomocy wojskowych lekarzy w najcięższych warunkach ratujących ludziom życie. „Drogi doktorze — pisze jeden z uratowanych żołnierzy — nam nadzieję, że list mój dojdzie do was, do waszkiej szpitali, że żyje i nie straciłem nogi. Wszyscy to zawdzięczam wam. Tak utrzymują tutaj lekarze. — Dziękuję — powiada — swemu doktorowi. Za to wszystko nigdy was nie zapomnę”.

Autentyczny list — autentyczne wielkie uczucia ofiarowane ze strony frontowych lekarzy i niezmiernie wdzięczności, wyrażanej przez uratowanych żołnierzy.

Książka rozszerza naszą wiedzę o bohaterstwie ludzi radzieckich w okresie Wielkiej Wojny Narodowej.

W „Opowiadaniach znanego” noweli Grzegorz Borowikowski pokazał uśmiechniętą, jak wielkie budowie komunizmu przedstawiają niedojrzałe rejon. W tym wypadku chodzi o oddziaływanie budowy kanału i Wolgę, a nie o najcięższych warunkach ratujących ludziom życie. „Drogi doktorze — pisze jeden z uratowanych żołnierzy — nam nadzieję, że list mój dojdzie do was, do waszkiej szpitali, że żyje i nie straciłem nogi. Wszyscy to zawdzięczam wam. Tak utrzymują tutaj lekarze. — Dziękuję — powiada — swemu doktorowi. Za to wszystko nigdy was nie zapomnę”.

Autentyczny list — autentyczne wielkie uczucia ofiarowane ze strony frontowych lekarzy i niezmiernie wdzięczności, wyrażanej przez uratowanych żołnierzy.

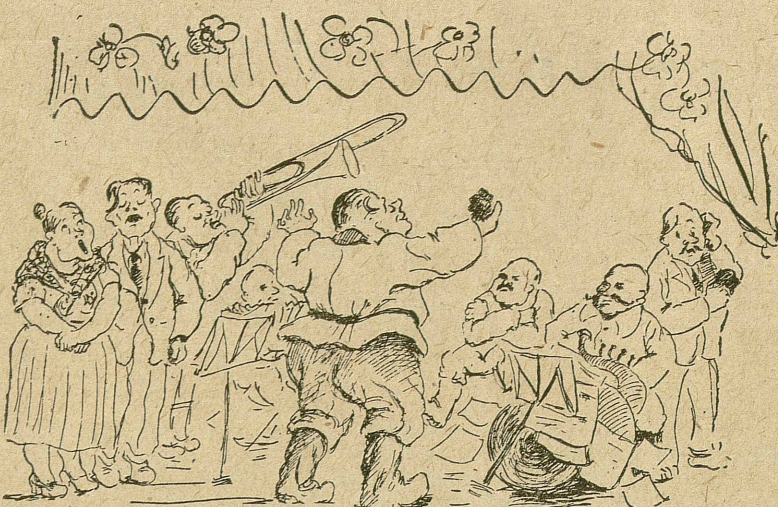
Książka rozszerza naszą wiedzę o bohaterstwie ludzi radzieckich w okresie Wielkiej Wojny Narodowej.

W „Opowiadaniach znanego” noweli Grzegorz Borowikowski pokazał uśmiechniętą, jak wielkie budowie komunizmu przedstawiają niedojrzałe rejon. W tym wypadku chodzi o oddziaływanie budowy kanału i Wolgę, a nie o najcięższych warunkach ratujących ludziom życie. „Drogi doktorze — pisze jeden z uratowanych żołnierzy — nam nadzieję, że list mój dojdzie do was, do waszkiej szpitali, że żyje i nie straciłem nogi. Wszyscy to zawdzięczam wam. Tak utrzymują tutaj lekarze. — Dziękuję — powiada — swemu doktorowi. Za to wszystko nigdy was nie zapomnę”.

Autentyczny list — autentyczne wielkie uczucia ofiarowane ze strony frontowych lekarzy i niezmiernie wdzięczności, wyrażanej przez uratowanych żołnierzy.

Książka rozszerza naszą wiedzę o bohaterstwie ludzi radzieckich w okresie Wielkiej Wojny Narodowej.

Grzegorz Timofiejew



WOJCIECH DRYGAS

„STRAŻAKU, WSTAŃ!”

Kierownik świetlicy donosił gorliwie:

...odbyło tyle a tyle zebrań, wypożyczono tyle a tyle książek jak również zorganizowano w okresie sprawozdawczym kapelę z własnym programem, która ożywi życie świetlicowe i przyczyni się do budowy naszej gromadzie...

Soltyś: ...obydwie raty podatku gruntowego uregulowały w 100 proc. gospodarstwa do 7 ha, w 90 proc. 7-10 ha, w 5 proc. powyżej 15 ha, pożarów nie było, pomorów nie zanotowano, ponadto w okresie sprawozdawczym zorganizowano kapelę z własnym programem, która przyczyni się do umocnienia autorytetu i rozszerzenia ludowiadztwa...

Przewodniczący gromadzkiego Komitetu Frontu Narodowego: ...w dalszym ciągu podnoszono świadomość mas na wyższy szczebel jak również zorganizowano kapelę z własnym programem, która przyczyni się do utrwalenia wieści...

Prezes koła gromadzkiego ZSCh: ...ściągnięto załęgi składki, odbyło się tyle a tyle posiedzeń po linii takiej a takiej, w okresie sprawozdawczym zorganizowano również kapelę z własnym programem, która zaktywizuje w poważnym stopniu działalność członków...

Sklepowa Matecznikowa: ...obróć ten sam co w poprzednim okresie sprawozdawczym, manko to samo, a także zorganizowano kapelę z własnym programem, członkowie której rekulturyzują się wyłącznie z naszych remanentów...

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że „Przylaszczka przez dwadzieścia lat z rządu produkowała swą waltornię na weselach w dwunastu okolicznych wsiach, a będąc za pan brat ze wszelkimi suitami, wariacjami, fugami, opusami, durami i molami posiadał imponujące bogactwo własnych dydaktycznych metod Jego pełna optymizmu i siły hymnowej kantata „Strażaku, wstań!”, siódma z rzędu kantata powstała na przestrzeni ostatnich kilku lat jest według opinii sklepowej Matecznikowej szczytowo osiągnięciem w powojennej twórczości tego wybitnego kompozytora.

Podsumując apostołską misję krzewienia wśród narodu dobrej muzyki, komendant Przylaszczka w pierwszym rzędzie rozspisał swoją kantatę na dziewięć instrumentów dętych, perkusję i jeden bęben, po czym przystąpił niezwłocznie do organizowania kapeli. Chętnych było wielu, o wyborze stanowiło posiadanie odpowiedniej jakości użytkowej bombardony lub klarnetu. Wkrótce też rozpoczęło pierwsze próby.

W tym właśnie czasie do powiatu pobięgo podwodził pięć zakonserwowanych meldunków, z których jeden nie wiedział o drugim.

Odnosne instancje powiatowe wyśtosowały podobne meldunki do województwa, w wyniku czego odnotowano w statystyce budujący fakt zorganizowania w terenie PIĘCIU NOWYCH KAPEL, które ze względu na własny oryginalny program i jak się domyślano odkrywczą, a w treści swej nawijającą do folkloru, zapisano bez namysłu na eliminację przed „Festiwałem Pieśni, Muzyki i Tańca”.

W oznaczonym dniu świetlica zapelniała się do ostatniego miejsca publicznością żądną muzycznych wrażeń. Ludzie konsumowali cukierki z remanentów Matecznikowej i wbiłali ciekawe oczy w pluszową kurtynę. Nikt na sali nie przypuszczał, że za kurtyną dzieją się rzeczy straszne.

Oto komendant Przylaszczka przypomniał sobie, że jego kantata nie została przeniesiona na chór mieszaną, który by śpiewał tekst „Strażaku, wstań!” oraz wykonywał partie mówione (zgiel: „Gore, gore, do pożaru, do pożaru — wal, wal, wal!” i okrzyki indywidualne: „Kto tam na kominie stoi i niegęso się nie boi?”, a następnie solo bas na przemian z sopranem: „To Przylaszczka, to Przylaszczka, to Przylaszczka-ha hej, picho-ruhu-naha!”).

— Dlaczegoż nie pomyśleli wcześniej o chorze? — załamane ręce soltyś.

Przylaszczka dygotał z wielkiej tremy.

— Bom ćwiczył kapelę... Jakbym przestał ćwiczyć kapelę, a zaczął ćwiczyć chór, to by kapela zapomniała bez ten czas nut, a jakbym znowu podreperował kapelę, to by chór zapomniał śpiewać. A razem ćwiczyć nie można, bo by było „kantus firmus”, a przecież chórzyści muszą z początku sami i unisono, a kapela cięciem moderato...

Co robić? Co robić?

— Chór mieszaną, obywałe? No to trzeba wziąć przecież Podbielską i Klonek! — krzyknął kierownik świetlicy.

Zacna ta para stanowiła najświetniejszy w całej parafii duet, bez którego nie obyły się żadne niesporry ani odpust. Oni też dyktowali tempo wszelakich godzin, rorat i litanii i byli postrachem proboszcza, którego pętrzyły rano w zbyt długim poście przyprowadził ukrótce o niezbyt kiskie.

Wywołani z sali za pluszową kurtynę zjawili się z minami wnieboziętymi.

— Panie Przylaszczko łaskawy, kurtyna w górę! — zdecydował soltyś.

Widownia zaparta oddech. Najpierw ukazały im się nogi, potem brzuchy i wreszcie głowy kilku grubasów i chudzielców, jakby wytoczonych z okrągłaków, co je naleśniczyz ustawia w rzędy na skraj zagajnika. Postawili na podłodze pulpity, rozłożyli z namaszczeniem nuty i trwali tak spokojni, milczący, przejeżdżając swoją rolę, czekając ukazania się kapelmistrza.

Wreszcie i on, bruchaty, rumiany wkroczył na podium krokiem człowieka, któremu spieszysz do ja dła. Zanim przeciął powietrze dyrygencką pałeczką, złożył uroczysty ukłon w stronę publiczności i zapowiedział skromnie:

— A oto kantata w dwóch częściach „Strażaku, wstań!” z wielkim pożarem przez komendanta Przylaszczkę...

Wówczas stało się! Zabrzącały w oknach szyby i posypał się tynk z sufitu. Bliskie pianie koguta rozdarła w kawały waltornia, róg i klarnet rozpoczęły szaleńcy pojedynek, bęben miazdżył bez litości znikające z każdą chwilą dźwięki klarnetów. Po kilku taktach, urozmaiconych również rykiem helikopterów, rozbrzmiał naraz pienia aniołów nie-aniołów — ludzi nie-ludzi.

Widownia zamienila się w słup soli. Podbielska wzmocniona basem Klonek głośli sławę strażaka, śpiewający przeszli w crescendo, głosy ich rosty i rosty przelatujące opor wielkiego bombardonu oraz gniotące strudzonej już bęben.

Do tego momentu wszystko na scenie odbywało się składnie: Przylaszczka wyrzucał w powietrze ramiona, muzycanci pluili i sapali, Podbielską i Klonek, przekrzykiwali się wzajemnie. Jednak po słowach: „Strażaku, wstań, wstań — na koni! na koni! na ko-oni!” bez żadnych przyczyn odmówili poszeszeństwa waltornia. Po prostu zabeczala z nagła i stanęła upiót taktu. Za waltornią zdechły obydwie klarnety, a zaraz potem bombardon i kornet.

Co u licha? Dech im zaparło? Zgubili się w nutach, czy jak?

W sali zrobiło się przestronniej, jakby z niej usunęto jakieś ciężkie meble, ludzie popodnosili głowy, za oknem triumfował z powrotem kogut.

Zdenerwowało to soltyśa. — Panie Przylaszczko łaskawy! — podpowiadał. — Cugupuzon i basy bejnie pospały się... Daj im pan o stroge... — lecz nie był on widocznie dobrym suflerem, bo stado instrumentów dętych milczało niby dziekie laczki w obliczu nieprzysięgi. Podczas gdy kapelmistrz przechodził sam siebie, aby wykrzesać z nich jakieś tony, z kierunków waltornii spłynęła na soltyśowe kolana niewielka kulka papieru, która po rozwinęciu okazała się pismem. Soltyś czytał:

„Chceta muzyki, odpiszcie nam z obowiązkowych dostaw po trzysta litrow mleka i jednym tuczniku, nie odpiszeta — będziecie mieli g...”

W soltyśa jakby piorun strzelił. To obejmował błędnym wzrokiem kapelę, to znowu upatrywał się niemo w szantażujące go słowa. Jakis nieokreślony, rozdzierający smutek rozlał mu się po pizytałym obliczu, gody w głuchej jak pień waltornii i milczących klarnetach rozpoznal naraz stych opornych podatków powyżej 15 ha.

— Ażebym cię choroba! — Poderwał się z miejsca i do reszty oszołomiony wyjął:

— Panie Przylaszczko łaskawy, kurtyna w dół! Do muzyki wkładaj się wrog klasowy!

W chwili potem pluszową kurtynę zatargali jakieś niezwykłe wstrząsy i na widownię, w pierwszy rząd krzesel, upadły kolejno: pogięta strasznie waltornia, popękane w kilku miejscach basy bejnie oraz sprasowany cugupuzon.

— Uwaga, uwaga! — grzmiała tuba radiowa. — Z przyczyn technicznych występ odwołujemy. Przy wychodzeniu z sali, a potem również, uprasza się szanownych gości o zachowanie bezwzględnej czujności wobec zakusów elementów kulackich.

Na drugi dzień zakonspirowani podwodami popłynęli z Kalenia Matego do powiatu pięć jednobrzmiących meldunków. Soltyś, Prezes ZSCh, przewodniczący gromadzkiego Komitetu Frontu Narodowego, kierownik świetlicy oraz sklepowa Matecznikowa biły się samokrytycznie w pierś:

...czy muzyka może mieć charakter klasowy? Może mieć, obywałe! Odpiszcie na pewien czas z naszego konta kapelę detę z własnym programem, perkusją i jednym bęb-nem!

Wojciech Drygas

EDWARD POCHRON

OKOPAĆ SIĘ W GMINIE! (II)

(List do rodzinnej wsi)

RODZY Towarzysze!

Ro-jawiając z tow. Kobielskim, przewodniczącym GRN, dowiedziałem się, że w gruncie rzeczy nie ma u Was gminnej świetlicy. Nie ma więc ośrodka kulturalnego, który by dopomagał na gromady, który by dopomagał w pracy świetlicom gromadzkim. Czyja w tym wina? Mówicie, że PRN w Brzesku, która w ogóle się nie interesowała tym smutnym faktem, mimo że GRN w Radowie kilka razy w tej sprawie interweniowała. To prawda, ale przynajmniej, że część winy również po Waszej stronie. Nie trzeba było tak długo czekać na PRN w Brzesku, ale pisać do WRN, do prasy — pomoc nadeszaby. A przede wszystkim trzeba było rozwinąć szeroką odolną inicjatywę chłopską. Stare przysłowie mówi: „lepiej późno niż nigdy”. Zdecydowaliście się więc, choć dopiero nie dawno, zorganizować świetlicę własnymi siłami. Komitet Budowy Świetlicy w składzie: Uryga (dyr. lic. w Radowie), Kobielski, Szestaba, zaczął ciućłacz groz do groz z różnych zabaw i zbiorów. Cenna to inicjatywa. Z Wami, Towarzysze, jest ludność radowska: robotnicy miejscowej cegielni wyprodukowali bezinteresownie dla świetlicy 30 tys. cęty, młodzież gimnazjalna przeznaczała dochody ze swoich zabaw również na świetlicę. A PRN w Brzesku? Wciąż nie! Może chociaż teraz postara się, aby Komitet otrzymał po niższej cenie deski na podłogę do świetlicy?

Gorzej ze świetlicami gromadzkimi, tymi absolutnie za mało się interesujecie. Wiecie o tych, które

dobrze pracują, a o słabo albo w ogóle nie pracujących prawie że nie wiecie. Weźmy na przykład Zabawę Świetlicą zaczęła tam pracować dwa lata temu. GS kupił krzesła i stoły, radio otrzymała gromada za terminowe wywiązanie się z podatków. Ale na tym się skończyło. Kilka miesięcy owa świetlica prowadziła jeszcze SP. Później ani słychu-dychu. Radio stało u soltyśa, młodzież wieczorami grała w karty. A możliwości pomyślniej pracy świetlicy w Zabawie istniały. Byli chętni, którzy już przedtem brali udział w przedstawieniach urządzanych przez młodzież gimnazjalną. Chodziło tylko o to, aby pracą pokierować. Ale ani GRN, ani ZSCh, ani ZMP, ani Komisja Oświatowa nic w tej sprawie nie zrobili.

Główna wina spada tu na Was, Towarzysze z Zarządu Gminnego ZMP. W waszych papierach w ogóle nie figuruje koto ZMP w Zabawie. A ono istniało, chociaż słabe — i trzeba mu pomóc. Za mało, koleżdy, za mało włożyliście w tę sprawę wysiłku — okazaliście się słabsi od wroga, który walczył z wami o młodzież z Zabawy. Przestraszyliście się tego, że Was wygizdano na jednym zebraniu. I nikt wtedy nie pomógł nauczycielowi, który nie mając doświadczenia organizacyjnego zaczął pracę z kołem od naukowego wykładu o Marksie i Engelsie, rewizjonizm, pravicowemu odchyleniu w ruchu robotniczym, itd.

Niemniejszą winę ponosi też Zarząd Powiatowy ZMP w Brzesku, którego pomoc dla Zarządu Gmin-

nego jest, mówiąc ogólnie, żadna; w czasie mojego pobytu beznadziejnie czekano tu na prelegentów, obicanych przez powiat dla obsługi zebrań wyborczych.

Koleżdy z Zarządu Gminnego ZMP w Radowie i powiatowego w Brzesku! Obudźcie się z niezdrowego snu, ruszcie na Kola Wiejskie! Pomogą Wam dobrze pracujące koła w Cegielni, PGR, Liceum. Zająćcie na zapomniane koło w Zabawie. Teraz młody nauczyciel, Wojciech Nakielny, organizuje tam zespół dramatyczny, ma szerokie plany na przyszłość; pogadajcie z nim, pomóżcie mu. Chętnych młodych ludzi w Zabawie jest sporo: Ignacy Łazarz, Eugeniusz Łazarz, Józefa Łosiówna, Władysław Kita, Zbigniew Rorat, Marian Błażej, Stanisław Dzik i in. W Wal-Rudzie zetępowcy przygotowywali jakąś sztukę, coś tam im nie gra — zająćcie i do nich. A przede wszystkim nie załamujcie rąk, jak to źście zrobili w rozmowie ze mną, koleżanko przewodnicząca: „A, rzucić to wszystko i iść do Brygady SP”. Niestuszenie, koleżanko! Na tym posterunku jesteście! Tak się sprawy mają! Praca trudna, to prawda, ale warta wysiłku i poświęcenia — i może być wykonana. Zycząc powodzenia, Towarzysze!

P. S. Zwróćcie uwagę na to, że młodzież waszego liceum wyjeżdża w teren z programem o spółdzielczości produkcyjnej. Skierujcie ją na trudniejsze gromady.

Edward Pochron

*) Patrz: Wyrównać dług! (cz. I, „Wieś” Nr 20).

S. WOSKREKASENKO

NIE CZAS UMIERAĆ

Zył był dziadek. Tęgi kowal
Pracowity i usłużny.
Naraz dziadek zachorował
I kostucha stoł w kuzni.
Woła śmierć: „Zbieraj się w drogę!”
A dziad na to: „Nie ochota.
Nawet umrzeć dziś nie mogę,
Taka w kuzni wrę robota.
Nadszedł właśnie czas remontów,
Reperuję traktor płaty...”
I dodaje chytrze basem:
„Przychodź do mnie w innym czasie!”

Dziadek chwycił się narzędzi:
Coś popuścił się w turbinie.
Przyszła śmierć, chorego pedzi,
A ten swoje: „Czekaj krzyne!
Przecież widzisz, ile pracy.
Kiedy indziej przychodź raczej...”
I dodaje pełen śmiechu:
„Albo wzytych zaniechaj!”

Śmierć cierpliwie znów przychodzi
I nie może się nadziwić:
Stary dziad, a zdrowszy co dzień,
Właśnie zbiorke na aktywu.
Śmierć mu kiwa: „Ej, nie zwlekaj!”
A dziad: „Teraz? Nie! Uciekaj!”
I dodaje kpiącym basem:
„Przychodź do mnie w innym czasie!”

Śmierć ostatni raz się wlecze:
„Zegnaj życie!” A dziad: „Idź!”
I już zdrowy do niej rzecze:
„Będę żył przy komunizmie.
Taka jest radziecka krzepa:
Stary dziad, a nie umiera.
Idź ty w odwiedziny lepiej
Gdzieś za morza do bankierów.

Przełożył: Grzegorz Timofiejew

Gazetka gminna

Woźny, że aż palce liżać

Wyobraźcie sobie taką szkołę: budynek brudny i ponury. Słońce do klas nie zagląda, gdyż nie ma korydoru. Okna od wielu lat nie myte. W salach kurz i błoto, podłogi od wielu miesięcy nie widać, a szafki i ławki — jakby z kłosa. Lekcje? Owszem są lekcje, ale trwa-ja, „ile Bóg da”. Nigdy nie wiadomo kiedy się rozpoczyna, kiedy zaś skończy, gdyż i dzwonka owa szkoła nie zna. W. Po trzecio, dobrze by było, jeżeli już wybieramy się do Kulewa, zabrać dużo gotówki, gdyż ob. woźny pan Myśliwiec Jan na pewno zaproponuje nam jakiś interes. Może zechce sprzedać nam świnki, których nie kontraktuje, a może cegły przeznaczone na remont szkoły.

A jak już w Kulewie będziecie, wstąpić po drodze do GRN i zekunkujcie tam co nieco o myślicu, gdyż o-cowie gminy nic o tym nie wieją, jak słynną posiadają szkołę i woźnego, że tylko palce liżać.

Piotr Pigwa

W Pacanowie poczta złam

Sława znanego ongiś Pacanowa, gdzie jak wiadomo „Kozy kuto” zanikaby zapewne doszczętnie, gdyby nie dzieln listonosze z tamtych stron. Im to należy zawdzięczać, że miasteczko znalazło się na ustach chłopów wszystkich bez wyjątku okolicznych wsi, głośno o nim nawet w powiatowym Busku Zdroju.

A w jaki sposób odzysła sława Pacanowa dokumentnie, za porządkiem, opowiemy.

Otóż wiedział wam trzeba, że rejon Pacanowa jest pod względem kulturalnym nieco zacofany. Elektryczności nie ma, stąd też brak aparatów radiowych, ludzie nie znają tu radiowęzła. A i biblioteki pracują podobno nie tego. Gdyby tak jeszcze i prasa nie dochodziła — pomyśleli dzieln listonosze — to mielibyśmy u nas jedyną w kraju orszacofani. A jakże stać zysk dla Pacanowa! Wyteczki młodzieży, ekipy badaczy naukowych. Kto wie czy nie zbudowano by w miasteczku hotelu, a może nawet nie zrobiono tu powiatu? Nuże więc do dzieła!

Dzieln listonosze z godną podziwu pasją zabrali się do tepienia prenumeratorów prasy. Zaprowadzany system rozdawania gazet nawet najbardziej zagorzałych czytelników gazet mogłoby wprowadzić z równością, obydwie czytanie raz na zawsze. System ten polega na tym, że listonosze zjawiają się z gazetami tylko w czasie jarmarku i tylko na ulicach prowadzących do rynku. Kto na jarmark nie przybył — przypadek z kresem. Skreślony z listy prenumeratorów.

Nie oznacza to bynajmniej, że nasi kółpoterzy kultury poprzestali tylko na tej metodzie pracy. Owszem, mają i

inne. Jeżdżą czasem w teren, kiedy trafi się ładny dzień, docierają do skie-pów GS i stołówek. Tam też zostawiają pocztę. A chłop gonia jak szale- ni po gromadach, gdyż nigdy nie wiadomo, pod którą ładą spoczywa spokojnie oczekiwany list, który stół i w jakiej stółowce okrywa opłona gazeta.

Widzimy więc, że się chłopaki wokół sławy Pacanowa tego uwiązują. Na ich zabiegach patrzy z sympatią Obwodowy Urząd Poczt w Busku Zdroju, bynajmniej nie zazdrośny o rosnącą sławę dawnego miasteczka kóz. Gorzej natomiast z chłopami. Ci ani rusz, nie chcą żyć w rezerwie, i go gorzszą, ani myślenia o przetrwaniu z prasą. Najlepiej dowód, że prosili redakcję naszej Gazetki Gminnej, aby listonoszy z Pacanowa nazwać po imieniu — bumelantami, co się też stało. Amen.

Józef Kwaśny

Gazda z Idzikowic

Na wielo pytań związanych z ponurym życiem i działalnością Władysława Gady z gromady Idzikowice, pow. Namysłów (Opolskie) można odpowiedzieć. Jest to bowiem postać już poznaną przez korespondenta naszej Gazetki Gminnej. Da przykład kilka pytań i odpowiedzi.

Dlaczego Gazda jest spekulantem i szkodnikiem? A no dlatego, że zjawiał się po wieczerze pierwszy we wsi, ale po to tylko by zająć najlepsze gospodarstwo i rozwinąć szeroko kontakty handlowe. Sprzedawał motorki elektryczne, spalnice, większe i mniejsze maszyny rolnicze.

A wyzyskiwaczem dlaczego? Dlatego, że przez dwa lata zatrudniał u siebie małżeństwo Głowackich.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 7-52-50 Adres redakcji: Warszawa, ul. Starowiejska nr 7.
Tel.: Red. Nacz. 863-86 Tel.: Redakcji 87061, wewnętrzny 5, 73, 8.
W arunk i p r e n u m e r a t y:
mies. — 4,00 zł, kwartalnie — 13,00 zł, półrocznie — 27,00 zł, rocznie — 55,20 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
RSW „PRASA” Warszawa, Marszałkowska 3/5 4-B-14297

CZESŁAW MICHNIAK

POD ŁYSICA

W ŚRÓD drzew kapiących białymi płatkami kwiatów stoja chaty. Wieś nazywa się Dąbrowa. Ale takich Dąbrów w Polsce są krocie. Określmy ją bliżej — gmina Tarczek, powiat Iłżecki. Z Iłżą kojarzą się gliniane garnki i ruiny zamku. Między płataniną gałęzi przezierają okracami granat lasów. Ten garb na prawo, zieleń niejący gdzieś niedaleko — to Łysica. Jesteśmy w górach.

Idzie ku mnie dwoje ludzi, on — w ciemnym ubraniu, ona — w beżowym palcie narzuconym na ramiona. Z drugiej strony nadechdzą młody człowiek w szortach i sportowej kosczałce.

Kierownikiem szkoły w Dąbrowie jest kolega Marcinkowski. Stanisław Marcinkowski. Syn matorolnego z Sobkowa, ukończył Liceum Pedagogiczne w Bodzentynie. ZMP-owiec. Koleżanka w beżowym palcie jego żona.

Zjawia się chłop w maciejówce na głowie. Obywatel Głuch — soltyś, a za nim młoda dziewczyna, potraszająca grzywą llnianych włosów. Koleżanka Oczkiewicz. Halina Oczkiewicz — przewodniczka harcerstwa.

— Trudno do was dojechać — wzdycham myśląc o wyboistej górskiej drodze i czarnej rozpacz szofera.

— Trudno — kiwają głowami wszyscy obecni.

Marcinkowski zbliża się do szafy. Na parapecie okna — akwarium, w którym pływają rybki. Za szybkami widać się rozkwitającą bez. Rozglądam się. Sala jest obelbiona, czysta, ale w jesieni dach przecieka — stąd żółte plamy na suficie.

Kierownik szkoły otwiera szafę i coś z niej wyjmuję. To „coś” chowa sobie za plecami. Miga mi tylko koniec śpiącego, czerwonego nosa i czarne wybałuszone oko. „Strach” — plynie szepot soltyśa. Wzdrygam się, choć za oknami u-rzęduje słońce, a kogut pieje na pogodę. Miga mi jeszcze rąbek kolorowej spódnicy i blade lico dziewczyny na patyku.

Tymczasem młody człowiek w szortach — kolega Imiołek (opowiada, że studiował dwa lata w Szkole Filmowej w Łodzi, a teraz pomaga chorej matce na 6-hektarowym gospodarstwie) ustawia wielki prostokątny kawał dykty, obok niego mniejszy. Z drugiej strony znowu większy, taki sam jak z lewej. W ten sposób w środku tworzy się pusta przestrzeń, którą koleżanka Oczkiewicz wypelnia kawałkami błękitnego materiału w kwiatki.

Co będzie dalej?
Ale oto wchodzi do klasy dwoje dzieci. Kierownik przedstawia: Bożenka Kaepczak i Tadek Bryla. Dziewczynka w szkolnym fartusku, warkocze ma splete czerwonymi kokardkami, chłopak patrzy ciemnymi bystrzymi oczami.

— Kim chcesz zostać — zwracam się do chłopca.
— Słuszarzem...
— A ty?
— Nauczycielką...
— Pięknie!

Dzieci znikają za przepierzeniem z dykty. Za chwilę soltyś chrząka, a Oczkiewicz poprawiając sobie niesforne włosy uśmiecha się tajemniczo — zaraz pan zobaczy...

Coś tu się święci...

Franka unosi się w górę. Na scenie ukazują się Jagna i Roch. Rozmawiają. Roch w porządnym świątecznym garniturze, Jagna w stroju ludowym. Roch ma żywe usposobienie, wywija rękami, jakby oganiał się od niewidzialnych much. Jagna krzyguje się, przymila... Spiewa piosenkę. Teraz zjawia się w czarnym kapeluszu pijacko przekrzywionym na stożkowatej głowie. Akcja rozwija się.

Soltyś reaguje śmiechem pakując sobie kulak do ust. Widział to już tyle razy, a przecież i teraz nie może wytrzymać. — Mógłbym tak co dzień, dobrze to robią — mruga do mnie.

Chłopi bowiem z Dąbrowy i nie tylko z Dąbrowy żyli się z kukielkami Marcinkowskiego i Imiołka, z gipsowymi cudakami wyprodukowanymi przez dzieciarnię z V i VI klasy. Ale w początkach, gdy brano się za bary z trudnościami, gdy Marcinkowski z własnych funduszy kupował dyktę i majstrował scenę, a Imiołek sterzał przy formowaniu głów, a potem na próbach — śmiano się z nich dobotrliwie: „Stare konie, bawią się lalkami, na co im to?”

Na zajęciach świetlicowych po lekcjach dziewczynki szyły stroje, a chłopcy heblowali patyki. Potem wszyscy razem przerabiali teksty, uczyli się piosenek.

Przegotowano trzy sztuczki: „Lis przechera”, „A mile za piec”, „O Rochu i jego grochu”. W ciągu niespełna pół roku dano 7 przedstawień w Dąbrowie i okolicznych wsiach przy frekwencji ponad tysiąca osób — dzieci i dorosłych. To prawdziwy sukces!

— Chcemy sięgnąć po tematy poważniejsze — mówi Marcinkowski — których treścią będzie walka o nową wieś, chemy też, aby zarówno stroje jak i oprawa muzyczna wystawianych sztuk ściśle n'iz dotąd wiązały się z naszym pięknym folklorem świętokrzyskim.

Jesteśmy w stałym kontakcie z Państwowym Teatrem Lalek w Łodzi — przylacza się do rozmowy Imiołek. — Dobrze by było, gdyby naszym teatrykiem zainteresował się również Wydział Oświaty i Kultury przy Prezydium WRN w Kielcach

Cz. Michniak